

# WIAS

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V

Łódź, 25 kwietnia 1948 r.

Nr 17 (146)

W NUMERZE

między innymi:

- J. Litwin, L. Sobierajski, J. Rogowski — Głosy o „Oświęcimiu“  
 S. Cieślak — O Czechosłowacji, o nas i optymizmie  
 M. N. Listowski — Na prowincji — myszy!  
 S. Ignar — Ruch „zaraniarski“  
 F. Fortini — Życiorys włoskiego intelektualisty  
 B. Majteczak — Wiersze  
 L. Gomolickiej — Folklor jako zagadnienie społeczne  
 Z. Skwarczyński — Egzotyka wiejska dla inteligencji?  
 G. Szturchaniec — Nie róbmy Greków!

## TRADYCJE OBJAZDOWE

W niedawnym czasie 20 literatów odbyło wyprawy autorskie na wsie polskie. Któraż tu z dwóch tradycji została wznowiona? Jedna — na wieś — sięga jeszcze końca w. XIX, kiedy to Szarek, Bojko, Czula wydeptywali nie tylko własny powiat, ale z krakowskiego przetrzucali się na Śląsk, kiedy w niewiele lat potem „Zaraniarze“ odwiedzali lubelskie i kujawskie, kiedy w latach międzywojennych pisarze chłopscy z „Wsi i jej pieśni“ żywot pisma opierali na osobistych kontaktach autorskich z czytelnikami (nieprawdaz Antosiu?), kiedy równolegle Młodożeniec, Skuza, Burek, Wiktor byli zapraszani przez mocniejsze Koła wiciowe. To jedna — chłopska tradycja.

Druga — mieszczańska. Wyjazdy na prowincję, metą trasy conajwyżej — miasteczko. Warto sobie przypomnieć „pasterskie misje“ Boy'a. Zdobył 50 miast. W każdym znalazł grono entuzjastów i admiratorów. Zaczynał przed laty w „Zielonym Baloniku“, w sytuacji społecznie bardzo niejasnej, w środowisku cyganerii literackiej, które zawisło poza „mydlarskim“, filisterskim i urzędniczym mieszczaństwem galicyjskim i poza dostojnymi salonami i instytucjami kultury w szlacheckim monopolu. Z satyry na „narodowe świętości“, na literaturę wieszczów, na chorbliwy kult sztuki, w której widziano główną i jedyną formę wyrazu narodowej twórczości, z tej satyry wyrosły z biegiem lat dwie rzeczy — przymierze z postępowym a liberalnym mieszczaństwem (zdobyta baza społeczna) i przedłużenie kultu w masach czytelnicy dla literatów, acz z rzędu „odbrązawiaczy geniuszów“. W tej tradycji pisarz nadal był oczekiwany w Zamościu czy Kaliszu jako literat i nie dlatego, że na prowincji mieliśmy już tak wysoka kultura, w której zainteresowania się zainteresowania, że do kultury dochodziło się tam po starciu przez jedno ucho igielne — literaturę.

Popularność Boy'a tłumaczyć trzeba tak, jak zdobył Troi przez wprowadzenie do niej słynnego konia drewnianego. Boy odbierał kult należny literatowi według narodowej tradycji w tym stopniu, w jakim literatem nie był i nie chciał być.

Cała jego atrakcyjność, jako rzekomego pisarza, pochodziła stąd, że pod pióro literata pakował sprawy nie literackie, sprawy szersze — kultury (przemian obyczajowości, awansu społecznego, historii epok i środowisk), że był zajadym reformatorem, publicystą, uczącym w granicach liberalnej filozofii, jak w konkretnym materiale stosunków społecznych, łącząc znane czytelnikom z osobistego doświadczenia fakty w związki przyświadczające, jak postępować od nich do uświadamiwiających się społecznie potrzeb i pragnień.

Tu tkwi źródło jego popularności, jako pisarza i biskupa na pasterskich objazdach. Prowincja potrzebowała i potrzebuje przede wszystkim kultury, a nie literatury. Kto jej wyjaśnia tę szerszą strukturę (kulturę), kto ją przeprowadza przez kondygnacje „konstrukcji jej losu“ (roli społecznej, zawodu, pozycji socjalnej, awansu społecznego), ten jest jej bliższy, jak przewodnik na drodze codziennej, na której ona znajduje się nieustannie. Niedziela poezji, sztandar poezji, powiewający na szczycie ukończonej pracy — to dalszy etap. A jeśli literatura na codzienność to w tej samej roli. Nie tamująca procesu działania jednostkowego i społecznego, nie odwodząca i nie zastępująca! Bo dla ludzi prowincji — z miast, osad i wsi — każde słowo jest nauką. Pieśni kościelne i modlitwy to tam, na „siółach“ — proszę panów — wciąż jeszcze wiedza podstawowa o świecie i przykazania na drodze życia. Oto, co znaczy — w praktyce — poezja!

## O TOPOGRAFIE KULTUROWĄ POLSKI

Więc pojechali 20 literatów na wieś, w po-jedynkę, na dzień, dwa, trzy, to tu, to tam, w przypadkowo wybrane wieś z gąszcza 50 tysięcy wsi polskich. Pojechali na zbliżenie literatury z ludem i na wywiad, jakaż to tam jest kultura czytelnicza, jakie gusty i potrzeby. Lepszy rydz, jak nic. Nie neguję tej wyprawy (choć porządnie kosztowała). Przeciwnie, „Czytelnik“ położył wielką zasługę, że rozkazem sztabowym odkomendował literatów na pozycje, które dotąd przypominały „antarktydy“, na jakie wybierają się zwariowani amatorzy. Kończy się era — „co kto lubi“. Pracujemy i piszemy dla narodu. Pękły kategorie klasowo-liberalne. Kultura narodu — to, dziś, kultura wszystkich Polaków jako troska, zadanie i cel.

\*) Antoni Olcha, współredaktor „Wsi i jej pieśni“ w Naprawie na Podhalu.



Jan Aleksander Król

# W PROMIENIU PIĘĆDZIESIĘCIU WSI

Ale z kulturą po rewolucji nie jest tak prosta sprawa jak z polityką. Od dużych miast do wioseczek biega linie skupień partyjnych. W granicach jednolitości tego rzędu przewalają się jednak przeciwieństwa i odmiany struktur i tradycji kulturalnych. Dlatego przed nami stałe zadanie: z jednej strony zniwelowania różnic kulturalnych, z drugiej — nie utracenia bogactwa wątków kulturalnych. Na „dotach“ jest bowiem nie tylko opóźnienie, jest też myśl konkretna ludu. Kiedy staje się on narodem, nie tylko sam się zmienia, ale i on zmienia. W tym co ma, czym dotąd żył, są rzeczy do odrzucenia, ale i są rzeczy, które stanowią narzędzia i siłę w jego awansie i nowej roli. Tak czy inaczej lud jest w tej chwili zastana rzeczywistość kulturową, twardsza, bardziej ustalona i pełniejsza, niż jego nawet najzarliwsza rewolucyjna świadomość polityczna. Dlatego podstawą planowej polityki kulturalnej musi stać się szczegółowo naniesiona na mapę Polski topografia kulturalna całego a zróżnicowanego społeczeństwa. Otwiera się pole dla socjologii praktycznej, w której usługi znakomite oddać mogą i powinny setki tysięcy współpracowników. Raporty literatów, którzy wyjechali na 2-dniowe wycieczki na wieś, bardziej ich charakteryzują, niż wieś. Z tego trzeba zdać sobie sprawę. I na tych opiniach nie można poprzestać. Koniec w wiedzy o kulturze społeczeństwa z metodą „pomachiwaj, pomachiwaj“.

A jak wygląda przeciwstawna jej metoda? Oto jej zarys.

## JEŻELI...

Wyjechałem — mianowicie — i ja na wieś, śladem moich kolegów literatów, ale broń Boże nie jako literat Wyjechałem „rozstawnym kołami“ — na 50 wsi, nie rozstrzelonych a skupionych w jednym okręgu. I przyznam się tym razem — nie osobiście. Taka przyjąłem metodę. Więc kto pojechał? Nikt nie pojechał. Poszło natomiast w pięćdziesiąt wsi paru gmin pow. Jędrzejowskiego 70-ciu brygadystów, słuchaczy U.L. w Pawłowicach. Poszli w 10 brygadach (każda od 3-ch — do 6 wsi), oddali w tej akcji 350 dniówek (po 5 dni każdy), rok pracy. Mniej

więcej trzymając się ankiety („Wsi“) wypisali sprawozdań na około 400 wielkich stron. Ta akcja — proszę panów — nie kosztowała państwo nic. Brygadziści poświęcili święta wielkanocne chłopom (nie pojechali do swych rodzin). Wędrowali piechotą po 20 km, często w jednym kursie. Bywali przeganiani, podejrzewano w nich „wyznawców Jehowy“. Jedli nieraz dopiero wieczorem, kiedy przełamali zwycięsko uprzedzenia. Wkraczali w sprawy wewnętrzne wsi, przyjmowali sprawy miejscowe do załatwienia, tam u „góry“. Siedli potem i napisali tę wielką książkę sprawozdań, również za darmo.

A jako motto tego wyznania nowego młodego pokolenia chłopów umieszczam, zgodnie z ich wolą, te słowa:

„Jeżeli wszystka młodzież kształcąca się w średnich i wyższych uczelniach pójdzie za naszym przykładem z pewnością zniknie ciemnota w wioskach i miasteczkach naszego kraju“.

Któż to wzywa do naśladownictwa studiującą młodzież? I na czym polega ów wzór działania, którego naśladownictwo, jak zapewniam apel, podniesie kulturę wsi i miasteczek w całej Polsce?

Wezwanie padło z ust młodzieży, której formalny poziom wykształcenia waha się między 3 oddziałami szkoły powszechnej a 2 gimnazjum i powiatowej szkoły rolniczej.

Jeśliby założyć, że jej plan upowszechnienia kultury jest słuszny i skuteczny, to adres apelu ma wymowę. Wy z liceów i uniwersytetów o ileż posiadacie bogatszy kapitał wiedzy. Jest Was razem 150.000. Co za potężna armia szturmowa! Myśmy w 70-ciu poruszili (w pięć dni) 50 wsi... 70 tysięcy takich, jak my, peruszyliby wszystkie wieś w Polsce. Uderzenie 150-tysięcznej armii młodzieżowej na wieś i miasteczka w 3-ch okresach rocznych — Boże Narodzenie, Wielkanoc, wakacje — to nie „pomachiwaj, pomachiwaj...“

Porzucenie nam sprawdzić wartość i znaczenie akcji brygadystów U.L. w Pawłowicach.

Posłuchajcie...

## NOWA WIEDZA

Nowością Uniwersytetu Ludowego w Pawłowicach jest to, że jego słuchacze wywodzą się z różnych organizacji. Są tu Wicjarze, Zetwumowcy, Omturowcy i niezrzeszeni. Ich plan akcji był owocem jedności i zgodności szerszej nawet od między-organizacyjnej.

Plan akcji?... Taktycznie bardzo trudny. W okresie wielkanocnego wódkochłania na wieś zdobyć chłopów dla poważnych odczytów i rozmów? Zdobyć na 4, a nawet 7 godzin? Zdobyli wszędzie!

Program? Jakże trafny. Poszli z „nowiną“ o stuleciu „Wiosny Ludów“. Była to dla nich zarazem teoretyczna podstawa akcji. Co mogli wiedzieć — spytacie — z której rączki czerpał? Tu niespodzianka. Nie ma jeszcze pełnej rewizji historycznej w podręcznikach, nie ma jej w głowach (najczęściej) nawet gimnazjalnych belfrów. Oni czerpali z pierwszej ręki. Z pierwszego naniesienia, jakie dały czołowe pisma literackie i społeczne. Tak, dowiedzieli się od Werfla (Twórczość, Nowe Drogi) i Landstiego („Wies“) „o klasowo-rewolucyjnym i narodowościowym przebiegu Wiosny Ludów w Europie i w Polsce“, dowiedzieli się od Kułi (Kuznica, Wies) i Kruczkowskiej („Wies“) „skąd się wywodził kapitalizm“, „jak się przedstawiały stosunki społeczne w Europie, sięgając aż rozwoju przemysłu w Anglii (wynalezienie maszyny parowej i masowej produkcji fabrycznej)“, „o wyzysku chłopów i robotników przez kapitalizm i bezwzględny rząd monarchów w pierwszej połowie XIX w.“, „co robotników i narody uciemiężone 100 lat temu spowodowało do buntu“, „co pisał Mickiewicz w Trybunie Ludów i do czego nawoływał socjalistów utopijnych“, „co robiła rolnicza szlachta, żyjąca z pracy chłopów“ („Wies“), „jak to Kałociński poprzeczł Złoty książę i marszem na gubernatora w Kielcach Wiosną Ludów“ (Sowiński—Kuznica, Wies, Syska—Wies).

Uprościli, unaiwnili — zapewne. Ideał sięgnął bruku. Ale zdobyli nowe ujęcie, nowe zrozumienie historii. A uproszczenie na „ich rozum“ to zarazem uprzystępnienie, przelożenie na język wsi nowej wiedzy, nowej oceny. Oni tym „naiwnizmem“ więcej zdziałali dobrego, niżby to potrafił nagłe przeniesiony literat piękna polszczyzną literacką i uniwersyteckimi konstrukcjami intelektualnymi.

Ach, jak ich jest 70-ciu, tak 70-ciu na wyrwyki wyprało dokładnie to samo. I to było ich dumą. Mają jedną, wspólną wiedzę a idą w różne sytuacje społeczne. W każdej brygadzie reprezentanci trzech organizacji i niezrzeszonych a jeden front!

W pewnej wsi, syn wójta, licealista, wdał się z nim w spór o znaczenie Mickiewicza. Mickiewicz nie był — jego zdaniem — nadzwyczaj wielkim człowiekiem. Życiem chłopca nie żył, bo był szlachcicem. Cechą jego była wielka uczuciowość. Doli tym nikomu nie polepszył. A zdaniem VI brygady — brzmiała odpowiedź — Mickiewicz jest wielkim człowiekiem, żył bowiem dla milionów przez to, że w czasie niewoli budził iskry nadziei w lepsze jutro w sercach rodaków i ludów Europy, że w „Trybunie Ludów“ za socjalistami utopijnymi na tamte czasy pierwszy wskazywał na lud jako na podstawę narodu i w jego walce widział nową lepszą przyszłość narodów.

A co się zaś tyczy pochodzenia, to Dembowski też był szlachcicem i Waryński a Marks mieszczańin, ale wszyscy na swoje czasy rewolucyjni, a to jest najważniejsze. Licealista, syn wójta obraca się wewnątrz tej tradycji „naukowej“, która apogeuem dla Mickiewicza znajdowała w jego mistycznym okresie towarzyszeniu. Licealista rewiduje tę tradycję i osiada na mieliznie jałowego ubezwartościowania. Morał pozostaje jeden: nie ma wielkich wzorów. Tą drogą szła przedwojenna młodzież mieszczańska. Dla brygadystów U. L. zwalił się jeden system wartości, wyrósł drugi. I w drugim (przez „Trybunę Ludów“) idą nie tylko z Mickiewiczem, ale i za Mickiewiczem. Mają siłę nie tylko wiedzy ale i wzoru! Sens zadania dla nowego pokolenia chłopskiego.

W innej wsi słuchający ich licealiści, pytali skąd oni tak szczegółowo znają okres „Wiosny Ludów“, bo w gimnazjach tego nie uczą, tylko „pobieżnie“ i dopiero teraz uzupełnili swoje wiadomości.

## W PIĘCIECIECIE 50 WSI

W pięćdziesięciu 50 wsi (pow. Jędrzejowski) wokół Pawłowic, jak wykazuje raport brygadystów (w przybliżeniu), połowa wsi znajduje się daleko od traktów, gminy, miast, stacyjek kolejowych; 3/4 z nich kryte słomą, o starych domostwach, często bez „mebli“ i

podłogi. Prawie wszystkie bez dróg bitych i chodników, bez elektryczności. W 12-tu szkołach powszechnych (3 — 7-mio oddziałowe 2 — 6-cio, 2 — 3-oddz., 4 — 4-oddz., 2 — nieokreślone), tylko z 8-miu wsi młodzież w gimnazjach (od 3 do 16 osób), w 15 wsiach partii polit. (SL, PPR, PPS nie wszędzie wszystkie), w 10 Wici, w 4 ZWM i OMTUR, w 14 wsiach kościoły, w 7 — katol. Zw. Caritas, w 9 — ZSCh, w 7 — spółdzielnie, w 8 — sklepy prywatne, (w 3, po 2 i 3), mało gdzie świetlice, trzy własne Domy Ludowe, 6 bibliotek przy szkołach (jedna o tysiącu tomów).

Pisma na 15 wsiach. Przepływa „Rycerz Niepokalanej”, „Niedziela”, konkurują „Rolnik”, „Chłopska droga”, „Zielony sztandar”, dalej „Wici”, pojawia się „Głos Ludu”, „Robotnik”. Na wielu wsiach wcale nie czytają książek i pism. W 5 wsiach jest PRW, pozatem nigdzie instruktora rolnego, nigdzie (poza szkołą i plebanią) gromadzką czytelnię i instruktora czytelni. Większość wsi na ziemi piaszczystej lub bagnistej, większość o gospodarstwach małorolnych.

Przedstawmy ten obraz w inny sposób. Oto kontury paru wsi. Sadtki (gm. Nowarzyce) — ludzie biedni, strzechy, domy bez mebli daleko od traktu i gminy, nie ma szkoły, kościoła sklepów, brak organizacji, nowozałożony ZSCh, przyłączony do 2-giej wsi, Setka młodzieży, chodzą luzem, nie czytają ani książek, ani pism, brak świetlicy, nikogo ze wsi w gimnazjum.

Popowice nad Białą Nidą — lasy, bagniska, wieś zabita deskami, żadna partia tam nie dotarła ani organizacja. Nie ma spółdzielni, ani lichego nawet sklepiku. Brak nawozów sztucznych lepszych narzędzi rolniczych, ożenki powszechne już w 16 — 18 r. życia. Kościół.

Mokrsko Dolne i Górne (gm. Raków), w pierwszym ani spółdzielni, ani sklepu, w drugim 2 sklepy i spółdzielnia. Trzy partje (SL, PPR, PPS) kościół, błoto, brak szosy i mostu. Najbardziej atrakcyjna plebania. Książki wypożycza książki i to jakie: „Rozważania na czasie”. Niecki „W. Witos a państwo polskie” (Kory), „Na placówkach życia”, „Synowie ziemi”. Jak ludowość to ludowość... byle z przed 50 laty. I przy tym wszystkim najlepiej chłopci są powiadomieni o tym, że Polsce zagrażają baptyści i wyznawcy Jehowy. Książki wokół kościoła posadził kwiaty i wystawił ławki. Jest park, kultura, promenada, i świetlica na powietrzu pod kościołem... a dalej błoto, bezdroża i Nida bez mostu.

#### SPOTKANIA

Kiedy brygadziści schodzili ku wsjom z piaszczystych wzgórz, poprzerynanych jarami w których teraz wiosna szumi woda — albo kiedy wynurzali się z lasów i z nad bagien, najczęściej witała ich na początku nieufność. W większości wsi dopatrywano się w nich agitatorów „kocięj wiary”, sekciarzy innowierczych („Świadkowie Jehowy”) Trafiali na wsi, gdzie były wesela, zabawy, gdzie młodzież „Caritasu” już, już miała odegrać zbrożną sztuczkę, trafiali (w dniach poświęconych) na ludzi zajętych pracą w polu, przy naprawie drogi, przy rozbieraniu zniszczonych domów, trafiali na sołtysów, którzy żądali pisma z gminy, był taki, co rzekł „chłop i tak ekona, a te zebrania nie mu nie dadzą”, było dwóch panów komendantów Milicji, pałających się do zabawy, ci rzekli, że zebranie brygadystów „nie liczy się” — a przecież wszędzie i zawsze wychodziło na to, że weselnicy wraz z orkiestrą przenosili się na zebrania, aktorki ze sztuczki „Caritasu” uciekły aby nadziwić się brygadystom, którzy również występowali w roli aktorów w inscenizacjach i piosenkach. Chłopci porzucali robotę i w południowej nawet porze pozostawali na parę godzin posłuchać... Na 50 wsiach mieli 8000 słuchaczy nie licząc działwy szkolnej. Od 60 do 300 i więcej osób na wsi.

Bywało pomyślnie i od samego początku. Był sołtys, co ledwie mu cel wykozyli, wziął trąbkę i dobrze zabrał, „a ludzie jeden przed drugim szli zaraz na zebranie”. Taką obyczaj i dyscyplina społeczna. Były partje, to na wyścigi członkowie PPR, SL i PPS-u wystawiali, jak z pod ziemi 300 słuchaczy. Trafiali na Wiciarzy, ZWM-ców, albo Omturów-ców, pogotowie młodzieży ściągano starszych. We wsi zamożnej, po rozmowie z najbogatszym chłopem (co to u niego plan w robotcie), mięgiem zesłali się chłopci. Podzielał się siedzką; snobizm i prywatna przychylna opinia wielkomorgowca.

I dziwna rzecz. Im bardziej zacofana wieś, za lasami, za wzgórzami bez szkoły, organizacji, świetlicy po przełamaniu naturalnej nieufności, tym większy wybuch entuzjazmu, tym silniejsze bywało wrażenie. Tam gdzie mówiono dotąd: „najlepiej nie należeć do żadnej organizacji w dzisiejszych czasach”, gdzie chłopci zadawali sobie pytanie, że do nich nikt nie zagląda tam, „pchali się do stołu najbliższej, jakby zjeść chcieli nasze słowa, bo nigdy nie słyszeli takiej głębokiej treści, wstawali z ław, uciszali dzieci, a bywało, że pasem sprak; za niewagę i chichoty”. Określali ten dzień, jako zwrotny w życiu ich wsi. „zrobił krok naprzód”, „byliśmy — piszą brygadziści — jakby tym słowem, które budzi z zimowego snu do nowego życia”. Chłop; sami dziwili się, że z pół i od pracy zesłali ale nie żalują, nie są zmęczeni i jeszcze chcą słuchać. Słuchali i po 7 godzin i nado zostawali (prosząc o to) na zebraniu urzędowym dla młodzieży, aby jeszcze... Aby jeszcze równało się nieraz odprowadzeniu brygadystów przez całą gromadę daleko poza wieś. Stali pod krzyżem aż półki młodych posłów nowej prawdy nie zakrył las.



Brygadziści U. L. z Pawłowic (w środku kierownik Uniwersytetu Babiniec) przed wyruszeniem w teren.

#### MOŻLIWOŚCI ZAPÓŹNIONYCH ŚRODOWISK

O Mickiewicz „coś” słyszeli, o Wiośnie Ludów prawie nie, o ks. Ściegennym wcale. Ale kiedy im wyliczono, na kilkudziesięciu wsiach podniosły się te same okrzyki „Trzeba takich nam księży, jak ks. Ściegenny, a nie jak ks. Szynkler... Księża winni się na nim wzorować!” Raz złożyło się tak, że młody kleryk za wzór podał autora Złotej Książeczki, raz tak, że dzieci z 6 oddziału wiwatowały, bo one się właśnie w szkole uczą o Złotej Książeczce, to wiedzą, to prawda, akurat tak samo!

Zapalali się chłopci. Padaly pytania: „dlaczego wówczas nie zwyciężono choć całą Europę ogarnęła ta chęt?” „Dlaczego Polska nie zajęła ważniejszego stanowiska?”

„Dobry kanarek z Meternicha, nie gorszy jak Hitler”. Kiedy brygadziści mówili o potrzebie nauki dla dziewcząt, o równych prawach, w wielu wsiach nie tylko były brawa kobiety, ale przytakiwali chłopcy: „tak jest, kobieta powinna brać udział we wszystkim jak i mężczyzna”. W kościelnych odzywały się głosy „kobieta musi stać za mężczyzną, jak w zwyczajach...”. Pytał gospodarze: „Dlaczego tyle organizacji młodzieżowych i do czego dążą?” Brygadziści odpowiadali: do tego samego, do poprawy bytu chłopów i robotników... To niechby była jedna wspólna — radził przekonująco chłopcy ze wsi oddalonych od traktów, gminy, kolei. Właśnie tam. A wszędzie brygadziści śpiewali cztery hymny: Wici ZWM, OMTUR i Federacyjny. O „Służbie Polsce” w tych zabitych deskami wsiach nie nie wiedziano, tyle, że przyszły „powiastki” po niektórych chłopców. Na co ona jest? — „S.P. przyczyni się do odbudowy kraju w szybkim tempie i ułatwi młodzieży zdobyć kwalifikacje w nauce i różnych zawodach”. Była to na wielu wsiach pierwsza informacja o „Służbie Polsce”.

Ale grunt jest przygotowany. Dziwnie, ale jest. Należy to bliżej wyjaśnić.

Dzieje Europy i chłopów sprzed 100 laty wytworzyły na opisanych, zacofanych wsiach, atmosferę, w której słuchacze czuli się dobrze, bo dla zrozumienia tamtych wydarzeń mają wiele naturalnego kapitału wiedzy. Są jakby o jeden etap tylko dalej. Jakby „tamto” z wczoraj pochodziło. „Ze narod był ciemny — mówili — to nie mógł się wyplatać z tej pętaczki, ale i teraz jest jeszcze dużo nieoświecenia i zacofania”. A mówili to właśnie — zacofani. Zapóźniona formacja kulturowa a przeszłość kulturowa to dwie różne sytuacje. Zapóźnienie sąsiaduje z współczesnością. I albo to ją utrwala, albo ją ku sobie porwya. Jedno jest widoczne. Z zapóźnienia wcale nie wiedzie droga poprzez etapy, jakie odbyło w bardziej „normalnej” historii analogiczne środowisko. Zapóźnienie wytwarza próżnię i od współczesności tylko zależy o ile ogniw pomoże z niego wyskoczyć. Przy większym zapóźnieniu anachronizm jest tak wymowny, że kiedy środowisko nawet się cofa przed nowatorstwem, punkt, jaki przyjmujemy w kompromisie leży dalej od jego dawnej wewnętrznej pozycji, niż od tej przed jaką się broni. Exemplum. Na pewnej wsi chłop gardłował za ostrożnością wobec Związku Radzieckiego bo tam kolchozy i przymus — a zamknął swą wypowiedź oburzeniem na brak instruktora rolnego, „czekamy i czekamy aby pokierował całą gospodarką wsi, bo inaczej kuńca z kuńcem nie zwiążemy”. A przecież ich jeszcze nie ma, nie stanowią nowej i stałej instytucji. Co więcej, chłopom nie o instruktora PRW idzie, ale o takiego „do rzeczy”, co nimi by dowodził, a nie dopiero sposobit młodzieży. Tęsknota za instruktorem rolnym jest powszechna. Prawie w każdej wsi dochodziła do głosu. W kilku nawet zobowiązywano brygadystów, aby go wytrasnęli koniecznie. W tym samym szeregu stoi szkoła, elektryczność, szosa, również teatr, biblioteka i kino. Kino które by pokazywało lepszą technikę rolniczą, elity nasion i hodowli. Charakterystyczne, to w biednych, zapadłych wsiach lista marzeń bywała najdłuższa. Tam, gdzie niewidziano nawozów sztucznych i lepszego sprzętu rolniczego najgoręcej o tym mówiono.

Pytacie, czy czytają? Nie czytają, bo nie mają co. Nie wiedzą, że z gminnej biblioteki można wypożyczać, że w Jędrzejowie można zamówić w „Czytelniku” jakie się chce książki. Ale... do Jędrzejowa albo Kielc daleko, ale co wybrać?... Ale, żeby był taki coby im „przetłumaczył” książki. W tym słowie „przetłumaczył” mieści się cały etap możliwego a nie spełnionego postępu. Wyraża ono: instytucję — czytelnię większą wraz z instruktorem czytelni, wraz z organizatorem składek i zakupów, wraz z salą odczytów i „klubową”, wraz z prelekcjami i dyskusja-

mi na temat powieści ich wyboru i wartości. To nie żart, z niebywałą satysfakcją słuchali chłopci streszczeń szeregu powieści. Ta mi się podoba, mówili na koniec, tę bym kupił. I tu sprawa znów wracała do tej nowej organizacji. Która wyraża słowo „przetłumaczył” książkę, a bez jakiej nie będzie się czytać ani książek, ani pism. Brygadziści zalecali z omówieniem krótki rejestr książek. Gdyby były, czytaliby. Gdyby urządził ktoś dyskusje, jeszcze bardziej. Brygadziści podawali te, które sami wyczytali, czy też zapracowali pod kierownictwem. Część z nich byłaby dla chłopów za trudna (choćbyż moja książka). Streszczali Skierskiego. Ich urok, ich autorytet, jaki zdobywali sobie w oczach chłopów był dostateczny, aby wpakować chłopom w rękę nawet Skierskiego. Gdyby jeszcze zjawiali się „choć co miesiąc”, jak chłopci wdychali, przetrawiono by na wsi i Skierskiego. Cóż to znaczy? Ze zapóźnienie, stwarzając próżnię, otwiera duże pole do ułożenia choćby dowolnego zespołu książek, jaki przy stałym „tłumaczeniu” (komentarz historyczno-socjologiczny), można wprowadzić do głów, przez jakie można ustalić w świadomości społecznej wsi nowy określony ideologicznie światopogląd i gust literacki. Raporty brygadystów, ich spostrzeżenia i oceny wciąż wracają do tej właśnie sprawy: koniecznych inwestycji kulturalnych jako czynnika decydującego o postępie na wsi, inwestycji, które właśnie na bardzo zacofanych wsiach dokonać mogą największych przemian i dać w wyniku klasyczny model kultury Państwa Ludowego, wzorowa, przodująca dynamikę społeczną dla nowego ustroju.

Na czym ta inwestycja ma polegać? Oczywiście na stworzeniu nowych instytucji. W pierwszym rzędzie **instruktoria rolniczego, czytelniczego i młodzieżowego**. Zarysowują się w naszej wyobraźni budynki, narzędzia, materiały, subwencje. Prawda. Ale mogłoby ich nawet nie być. Nie od nich zaczyna się sprawa. Nawet szkoła, kiedy jest (i to 7-klasowa) i nauczyciel należą do doświadczeniu wsi do tradycji, a właśnie tradycję odczuwają jako spętanie.

Marzą o zmianach, o nowych formach organizacji życia wsi, o nowych instytucjach i nie mogą przez tradycję z jej kręgu się wydobyc. Poruszyć by ich mogli nowi ludzie, jak ci chłopcy — brygadziści wolni od tradycji, tzn. już uzbrojeni w umiejętności tworzenia nowych instytucji i nowej organizacji. Chłopci chcą się oddać instruktorowi rolnemu, młodzieżowemu, oświatowemu. Niechby ich prowadzili, ale najpierw muszą zaistnieć ci przodownicy.

Inwestycja kulturowa do nich się w tej chwili sprowadza.

I jest rzeczą uderzającą, że przodownikami mogą być już w opinii wsi młodzi. Brygadziści nie tylko mieli mir u młodzieży. W wielu wsiach Wiciarze żalili się, że od trzech lat nikt ich nie odwiedzał, nie instruował. Brygadziści ich ożywili i podciągnęli stylem i zakresem swych występów. W wielu wsiach powołali do życia nowe koła „Wici”. Ale również starsze pokolenie, mimo, że nie są żadną władzą, widzi w nich naturalnych przywódców i złożyło w ich ręce wiele gromadzkich spraw, jak w PRR dostojników powiatowych. Kapitałne, bo PRR-owcy, SL-owcy, sołtysi radni, nauczyciele obożyli ich zadaniami do rozwiązania tam, w „gorze”. Oni przyspieszą zelektryfikowanie wsi (na które od dwóch lat płaca, a „elektryki” nie ma), zatwierdzenie szkoły, otrzymanie subwencji na postawienie szkoły, dla której chłopci odkupili plac, część budulca i dają robociznę, oni pomogą kupić drzewa na most, zboża do wymiany, nawozów, maszyn, dostać subwencje na uruchomienie wapiennika, znaleźć instruktorów rolnych, nauczycieli do trzech ośrodków i szkół rolniczych, oni ściągają kina objazdowe, oni wybiorą w „Czytelniku” biblioteczkę 50 książek (na początek), oni napiszą do jakich szkół zawodowych wysłać dzieci itd.

Trzeba pamiętać, że pokolenie starsze, które liczy dziś 50—60 lat w r. 1920 miało 20—30 lat, a w r. 1930 — 30—40 lat, a w tym okresie rozgrywała się najgorętsza batalia Wiciarzy o prawa przodownicze dla młodzieży na wsi, najsilniejszy był ruch emancypacyjny młodego pokolenia. Historia nie ma potrzeby wracać do powtórnego reprodukcjonowania swych zdobyczy z przeszłości. Dziś jest już taka sytuacja, że starsze pokolenie posłuchałoby młodzików pod jednym warunkiem: udowodnienia przez nich przodowniczej sprawności socjo-technicznej i fachowości w określonym zakresie. W każdym spotkaniu brygadziści zyskiwali to uznanie. Zyskiwali dlatego równocześnie zaufanie. Budzili ze skrytych dusz głośne marzenia, z kolei nadzieje na zrealizowanie wielu zawieszonych spraw. Zrealizować je mogli oni — ich też obarczono niema-

łą listą. Brygadziści wyraźnie podkreślają tę nową, pełną możliwości sytuację: „wszędzie, gdzie działają instruktorzy i samorząd, tam wieś jest postępująca i dobrze się urządza”. Chłopci w dyskusjach mówili niemniej wyraźnie „młodzież powinna pomału budować swoimi siłami lepszą wieś i to byłoby współzawodnictwo”. Powiedziane to zostało z okazji współzawodnictwa z klasą robotniczą. Pytali brygadystów, czego uczą w UL-u? Bo oni wyglądają na bardzo obrotnych, skoro i w polityce mają wyrozumienie. W 15-tu wsiach powzięto decyzję wysłania młodych do Pawłowic (a w wielu poraz pierwszy dopiero dowiedzieli się chłopci, co to Uniwersytet Ludowy).

Obracają się oczy starszego pokolenia i ku takim przeszkoleniem, które by młodych nie zabierały ze wsi potem, ale wróciły i już nie tylko na gospodarstwo, ale na szerszą akcję w gromadzie.

Dlatego raz jeszcze przypominam: inwestycje kulturowe muszą być dziś skierowane na wytworzenie przodowników. Im chłopci zaufają, oni pobudzą wieś do inicjatywy, do skalkulowanych świadczeń.

W ich cieniu możemy spokojnie wyobrazić sobie budynki, wyposażenia techniczne instytucji i subwencji. Jeśli nie w całości, to w części potrafią je zgromadzić z lokalnych, społecznych ofiar.

#### INWESTOWANIE KULTURY

Krytyka i ocena brygadystów jest bezinteresowna a wnikliwa i stanowcza. Oglądając wieś „staroświeckimi prawie oczami”. W ich opisach jest skala. W tej wsi droga i most — konieczne. Bez nich zahamowana komunikacja gospodarza (powrót do gospodarki naturalnej), nie inwestowanie gospodarstwa, zahamowana komunikacja kulturalna (gazety, książki), trzyoddziałówka zamyka edukację, a w innej wsi chłopci z trzyoddziałówki robią sami siedmio. O innej wsi, gdzie chłopci palą się do kina (filmy o uprawie zbóż, ziemniaków, buraków cukrowych), zabiegają o wymianę nasion bo „się wyraża uprawa” — piszą, podsumowując — trzeba jej udzielić pomocy bo „wiecej wyda wysiłku i wyprodukuje zboża”. Tak mógłby opiniować starosta.

Jeszcze o innej: jest młyn i szkoła i nawet to towarzyszywo dobrze z sobą popija, ale wieś ma niewielki pożytek, szkoła nie gra tu poważnej roli, chłopci sami tworzą nową rzeczywistość i dlatego musimy im pomóc. Należałoby zmienić kierownika szkoły, a temu hycłowi młyn odebrać na spółdzielnię przemysłową i tak spółdzielnię tutejszą osaczają 3 sklepy prywatne, a już się wyszarpnęła na 50.000 zł na chodniki.

Jeszcze jedna ocena: nie ma tu żadnej partii, jest kościół. Mimo to chłopci chcą nowej gospodarki. Żalą się, że z braku instruktora rolnego biedniejsi wzorują się (z konieczności) na bogatych. Kiedy jest błoto — jak mówią — przydałaby się droga i chodniki, a jak wyschnie to każdemu i zubożnięcie i tak wkłóło Wojtek — koniecznie instruktora i koło młodzieży i koło „Czytelnika”. Nie ma sprawozdania, w którym nie zawierałaby się już w samym opisie krytyka braków, wydobyte dane na przemiany i plan pomocy.

Takimi niecodziwnymi przodownikami są nasi brygadziści. Jakich wytworzyć, w ilości, która nada projektowanej inwestycji kulturalnej historyczne znaczenie? Mogą to zadanie wypełnić w części partje (na kursach odpowiednio długich i pogiębionych), spełnia w części szkoły zawodowe, w dużym stopniu „Służba Polsce”, ale nie wolno zapomnieć o projekcie brygadystów!

Cenią oni swoją akcję świąteczną dlatego, że ożywili 50 wsi, że postawili na nogi wiele kół, wytyczyli im zadania. Część spraw gromad załatwiała u „góry” i ruszy robotą społeczną na opuszczonych przez nich wsiach. Odwołują się do 150.000 młodzieży licealnej i studenckiej.

Objąć ona może pierścieniem wieś i miasteczka całej Polski. Wzбудzić inicjatywę społeczną w tysiącach osad, pomóc tam, gdzie kluje się, odryglować tam, gdzie zahamowana została przy jakiejś sprawie grubszego kalibru.

Brygadziści z Uniwersytetu Ludowego „apostołowali” podczas świąt ale dobrze wiedzą, że nie potrzebują tak, jak przed wojną ich poprzednicy, kierować się przykazaniem apostoła: „co boskie Bogu, co cesarskie cesarzowi”.

Znaczyło to kiedyś, że apostołowie nie mają dostępu do porządku ustrojowego. Oni wiedzą, że dziś mają i dlatego przyjęli furę spraw do załatwienia w „gorze”.

Ich sprawozdania stanowią **bieżące akta socjologii praktycznej**. Opis, zestawienia, ocenę i wskazania, które może uwzględnić i na które winna oczekiwać planowa gospodarka Polski Ludowej. A i chłopci w nowatorstwie brygadystów widzą to samo, ich przydatność na wsi i ich zaplecze w całej Polsce, w jej nowym ustroju. Brygadziści wnoszą do wsi **nową polskość**, na miejsce tradycyjnej, etnicznej i parafialnej, polskość — **ideologiczną**. W tych latach czas jest dla nas drogi. Nim przez kursy i odpowiednio szkoły wyprodukujemy dostateczną ilość podstawowych przodowników wsi, każde ożywienie tych, co są na miejscu, a w opuszczeniu, za lasami i bagnami, każde ich wzbogacenie w wiedzę, każde usprawnienie w najwęższej choćby dziedzinie, każde powiązanie się z nimi w spotkaniu będzie wzmocniało świadomość nowych czasów, nowych możliwości i jedności społecznej narodu. A 150.000 młodzieży w takich trzykresowych akcjach rocznych nie tylko przyda się społeczeństwu, ale społecznie dojrzeje i utrwali w sobie świadomość nowej roli inteligencji, jej organicznego związku z wielką przestrzenią społeczną Polski, która jest i czeka za rogatkami wielkich miast.

Jan Aleksander Król

# Głosy o „Oświęcimiu”

Jakub Litwin

## Pierwszy czy „Ostatni etap”

**K**URSUJE o „Ostatnim etapie” opinia — głoszona przeważnie przez byłych więźniów Oświęcimia — że film skrzywa rzeczywisty obraz życia obozowego. Nie wątpię. Ale należy zapytać, czy można — czy jakkolwiek człowiek jest w stanie oddać prawdę Oświęcimia. Trzeba stwierdzić, jasno, że relacje i opowiadania — nie mówią wszystkiego. Nawet ci, którzy przeżyli piekło obozowe nie umieją ocenić obozu z punktu widzenia jego — jemu tylko właściwych — norm moralnych. Przemilczają — świadomie lub bezwiednie ten element samoponiżenia i pogardy człowieka — bezgraniczny antyhumanizm, tak właściwy życiu obozowemu. Obozem kierowały bowiem normy moralne, tak różne od stosowanych w społeczeństwie kulturalnym, że trudno je często opisać. A one były elementem dominującym życia obozowego.

Co mówi o nich film? Niewiele. Ludzie „Ostatniego etapu” myślą i działają w myśli „Ostatniego etapu” — w rzeczywistości nieprawda, że takich ludzi nie było. Ale nie byli czymś typowym w schemacie obozowym. Stanowili nieznacznie mniejszość. Większość zapewne więźniów nie znała albo — co gorsza — nie rozumiała ich ludzkich cech charakteru. Ale byli. I to jest ważne.

Na obóz oświęcimski można patrzeć z dwóch punktów widzenia — z wewnątrz i od zewnątrz. Spojrzenie od wewnątrz pokaże system społeczny oparty na zasadach tak różnych od potocznie przyjętych w społeczeństwie — że nie dla wszystkich zrozumiałe. A przy tym nie pokaże wszystkich stron życia. Spojrzenie zaś z zewnątrz, z pewnej odległości, z intelektualizacją, pozwala również dostrzec ową ludzką stronę życia obozowego. Być może zaciera nieco proporcje pomiędzy codziennym — powiedzmy podłym — schematem życia obozowego, a jego elementami bohaterскими — ale pokazuje właśnie to, co ma największą wartość dla żyjących — człowieka opierającego się pokusie odczłowieczenia. I obraz taki nie jest kłamstwem. Jest prawdą walki nie o biologiczne życie — ale o człowieka społecznego. A w obozie toczyła się walka na dwóch frontach.

Niechaj sobie byli więźniowie obozów

przypomną, jak trudny, mozolny i długotrwały był okres moralnej rekonwersji. Jak trudno było się włączyć w nurt życia społecznego, w prace, zadania i cele, jakie stawia przed człowiekiem społeczeństwo. To był obozowy okres walki o człowieka — którą wielu toczyło jeszcze w okresie obozu.

Film ten właśnie problem obrazuje. I przedstawia go z rzetelną uczciwością.

Trzeba by również zapytać, czy film winien ów problem walki o człowieka zmniejszyć do proporcji obozowych. Ale wówczas byłby to płaski, mały realizm — albo dostojniejsza.

Za wielką zasługą Jakubowskiej należy bez wątpienia uznać, że umiała, jak Gorkij powiedzieć: „Człowiek — to brzmi dumnie”. „Ostatni etap” — to film o walce człowieka — o swoje człowieczeństwo. Walka nabiera tu cech wielkości przez kontrast do nędzy życia obozowego. Śmiem powiedzieć, że „Ostatni etap” jest filmem nie tylko o Oświęcimiu — jest to film o ludziach rzuconych przez los na najniższe dno życia. Tylko, że los nie jest tu fatalistyczny, metafizyczny koniecznością, wobec której ludzka wola jest tylko biernym przedmiotem — ale jest to konkretna sytuacja życiowa zbudowana przez pewnych ludzi — hitlerowców, którą inni ludzie — więźniowie i patrioci — chcą i muszą zniszczyć.

Czy przedstawienie obrazu walki z upadającym systemem — nie jest realizmem wyższego rzędu — bo realizmem rewolucyjnym? Realizm mały tak się ma do rewolucyjnego, jak rysunek anatomiczny ciała ludzkiego do obrazu artystycznego i żywego, choć może skrótego.

Film Jakubowskiej przeciwstawiłbym naszej powojennej literaturze — która nie umie zrzucić z siebie kurzu małych faktów i małych kontrastów. I plus zapisałbym niewątpliwie Jakubowskiej.

Filmowi dano tytuł „Ostatni etap”. Przypuszczam jednak, że jest to obraz pierwszego etapu walki człowieka o swoje ludzkie prawa. Film winien być pierwszym etapem sztuki obrazującej dalszy ciąg walki ludzi ujarzmionych przeciw ujarzmiicielom.



Apel  
Scena z filmu „Ostatni etap”

Fot. „Film Polski”

rozporządzać własną osobą; w tym systemie moralnym, stworzonym przez mieszczaństwo kapitalistyczne, bankrut nie mogący wywiązać się ze swych zobowiązań mógł wyjść z tej sytuacji z honorem, kończąc z własnym życiem. Inaczej na dobrowolną rezygnację z życia spojrzysz człowiek, ujmujący jednostkę ludzką zawsze w kontekście społecznym. Więzień, posługujący się systemem ocen, ujmujących człowieka w jego funkcji społecznej, mimo, że będzie wyrwany z dawniejszej przedobozowej grupy, nigdy nie przestanie odczuwać więzi łączącej go z tą grupą — przeciwnie w nowej sytuacji będzie jeszcze bardziej wzmacniał w sobie świadomość, że jest członkiem narodu, który pozostaje w walce z faszystem, jeśli był członkiem walczącej armii czy ruchu oporu; nie zapomni on o tym, że w życiu przedobozowym reprezentował cenne dla swojej grupy wartości, będzie on stał na stanowisku, że te wartości są nadal własnością grupy, z której wróg go wyrwał.

Trzymanie się tego systemu stwarzało dla więźnia najmocniejsze bodźce do przetrwania, trzymanie się tego systemu kazało mu w nowych obozowych warunkach wypracować takie normy postępowania, które by całej grupie obozowej zapewniały jak najdalej idącą możliwość obrony.

Ten nowy kodeks pozwalał na znoszenie upokorzeń. Inna rzecz, że nie zawsze występował on w czystej postaci, jego wyznawców obciążały często i tradycje indywidualistycznej (systemu liberalnego) moralności, gdzie pojęcie honoru, godności ludzkiej, przekazywane nam z feudalnymi tradycjami europejskimi, narzucały się więźniowi z nieodpartą siłą. Życie obozowe dostarczało wielu przykładów załamywania się „systemu obronnego”, zdeternowanego postawą społeczną przez atakujące często człowieka obozu normy personalistyczne odczuwania i reagowania. Wtedy dochodziło do katastrofy. Dwa takie momenty pokazuje nam film. Mam tu na myśli epizod z Eugenią w trakcie inspekcji obozu przez komisję „międzynarodową” i epizod z partyzantką Dessą na rannym apelu z Lagerführerem. O ile w wypadku Euge-

nii można by jeszcze dyskutować, czy jej głośny protest przeciwko kłamstwu był buntem spontanicznym, czy świadomą akcją, podjętą w interesie całego obozu, o tyle w wypadku Dessy należy stwierdzić wyraźne załamanie się społecznego systemu obrony na rzecz systemu personalistycznego. Dessą, więzień obozu koncentracyjnego, odmawia wykonania upakarzającego rozkazu, odmawia jako człowiek, który był oficerem partyzanckim; ginie wypełniając tradycyjny schemat: „Raczej śmierć, niż upokorzenie”.

Eugenia i Dessą należą do najwartościowszych jednostek grupy obozowej, spełniają ważną rolę, ich śmierć zmniejsza poważnie zdolność obronną grupy; równocześnie Związek Radziecki traci wybitną prawdopodobnie lekarzkę, Jugosławia przysłą organizatorkę „Omladiny Titowej”; rachunek wyraźnie układa się na korzyść „panów obozu”.

Rzecz prosta, że nie robię tu zarzutu reżyserce filmu, że Dessą wybrała śmierć, zgłaszam tylko wątpliwość, czy należy epizod ten traktować jako moment zwycięski w walce obozu, czy raczej jako moment klęski, wynikającej z pomieszania dwóch wspomnianych systemów.

Bo widz może odnieść wrażenie, że zachowanie się Eugenii czy Dessy ma być typowe dla grupy, którą one reprezentują. A przecież sprawa wygląda inaczej. Grupa Dessy i Eugenii stanowi w różniczkowanej społeczności obozowej ośrodek mobilizujący więźniów do walki z faszystowskim systemem niszczenia człowieka. Zdobywa ona wewnętrzna siła właśnie dlatego, że w postępowaniu swoim kieruje się normami moralności komunistycznej, która pozwala na wypracowanie przez grupę obozową warunków moralnych do przetrwania. Stąd zupełnie nieuzasadnione w linii ideologicznej filmu było pokazanie Eugenii, a zwłaszcza Dessy, w wymienionych epizodach, jako ludzi reagujących według norm drugiego skrzydła więźniów, tych z kultury liberalno-mieszczańskiej, inteligentno-klerkowskiej, narodowodrobnomieszczańskiej i religijno-opatrniczościowej.

Julian Rogowski

## O literaturze obozowej

Film „Ostatni Etap” pobudza do przypomnienia i rozważania raz jeszcze polskiej literatury obozowej. Stanowi ona objętościowo dużą pozycję wśród wydanych po wojnie książek. Poczytność jej wprawdzie osłabła po pierwszym okresie zainteresowania, niemniej literatura ta rolę swoją wobec tego społecznego zainteresowania — spełniła. Zapisła ją ktoś w pierwszym rzucie treści zbiorowych doznań wojennych wielkich grup ludności cywilnej ujętych w tryb faszystowskiego systemu zniszczenia.

Klasyfikując książki dokumentarne o obozach, możemy wyróżnić trzy odrębne typy zróżnicowane ideologicznie, w zależności od reprezentowanego na terenie dzieła światopoglądu. Pierwszym z nich okazały się metafizyka katolicka, drugim mieszczański liberalizm, trzecim zaś tendencje zbliżone do socjalizmu. Uzasadnimy ten podział na przykładach reprezentatywnych.

Zacznijmy od książki najbardziej może oślawionej, a to na skutek ataku T. Borowskiego, od „W otchłani” Zofii Kossak-Szczuckiej. Zaiste, trudno o dzieło bardziej kompromitujące katolicką filozofię niż ta krótka praca, szukająca w obozie sensu wręcz mesjanistycznego. Śmierć zostaje tu rozpatrzona jako mistyczna ofiara odkupienia, jako „dopuszt boży”. Z obozu czyni się tu Oberammergau, jakieś potworne widowisko pasyjne mające z niewiadomych przyczyn wpłynąć na odkupienie świata. Zagadnienie obozu nie jest już uwarunkowane czynnikami społecznymi (faszystym), lecz wolą bożą. Zjawisko nabiera charakteru nadludzkiego i metafizycznego. Po prostu jakaś zapowiedź Apokalipsy.

Rozsądniej mówi o obozie Rusinek. Reprezentuje on ten typ liberalnego humanizmu, który w Niemczech panował przed rokiem 1938, który zyskiwał taką popularność w powieściach Remarque’a. Obóz dla tych ludzi był cłosem najcięższym, był poniżeniem ich podstawowego mitu — godności ludzkiej. To, o-

co walczyła liberalna demokracja XIX wieku, zostało tu w brutalny sposób obalone i zniszczone. Żołnierz, nad którym rozczulano się po pierwszej wojnie światowej, znajdował się w pozycji daleko szczęśliwszej niż więzień obozu koncentracyjnego. Wiara w naukę, jakiej dostarczyła pierwsza wojna światowa prysła, został bezradny humanitaryzm, przerażony rozkładem moralnym, nagłym odrzuceniem tych wszystkich wartości, na których opierało się życie mieszczańskie przed wojną. Ze sprawy Rusinek bolesnej dla inteligencji uczynił Rusinek zagadnienie poza-społeczne. W obozie istnieć może razem nie grupa socjalna, a grupa ludzka. Chodzi mu tu o człowieka bezprzymiotnikowego, o ten zespół wartości duchowych, jakie człowiekowi i tylko człowiekowi mogą być właściwe.

Najbardziej zbliżony do prawdy obraz obozu udało się skonstruować jedynie Szmaglewskiej. Ona to odniosła ów niezrozumiały dla wielu koszmarny do „pewnego zespołu czynników historyczno-społecznych, które spowodowały zaistnienie obozu”.

Czymże właściwie był Oświęcim? Miejsce, w którym „wychowywano” ludzi, wielką szkołą poprawczą dla przeciwników faszystów. Chodziło nie tylko o eksterminację biologiczną, ale i o eksterminację kulturalną, o przygotowanie gruntu do przyszłego systemu rządów faszystowskich. To nie była tylko sprawa odkupienia i pohańbienia człowieka, to był zakład karny, zakład „wychowujący” ludzi dorosłych oparty na konieczności likwidacji wszystkich tych konwencji, jakie w środowiskach mieszczańskich, robotniczych czy chłopskich groziły systemowi.

Film „Ostatni Etap” pokazuje raz jeszcze ten sam obóz, jaki znamy z literatury — w aspekcie dojrzałym ideowo, świadomie postępowym.

Film wyprzedził dokumentarną literaturę obozową.

Leonard Sobierajski

## Dwie obrony

**K**RYSTYNA Żywulska, autorka książki „Przeżyłam Oświęcim”, która pierwsza zabrała głos w dyskusji nad filmem „Ostatni etap”, pisze: „Po wyzwoleniu zastanawialiśmy się rzeczowo, co należałoby pokazać w ramach dwugodzinnego filmu... Co należy pokazać ludziom „niewiedzącym” i co jest „najważniejsze”? Czy najrozsądniejszą sposobą torturowania, znęcania się i bicia, czy upokorzenia, deptania godności ludzkiej, czy głód, doprowadzający do ludożerstwa, czy komory gazowe, czy stopy trupów pod barakami, czy dławiona, nieustająca tęsknota czy wreszcie — walka... Jakubowska wybrała walkę, jako temat filmu o obozie. Walkę i bunt przeciwko rzeczywistości obozowej. Wybrała najsluszniej”.

Istotnie, koncepcja filmu o obozie koncentracyjnym, tak jak ją postawiła autorka scenariusza i reżyserka „Ostatniego etapu”, nie budzi żadnych zastrzeżeń — jest słuszną tak w odniesieniu do widza, który na nowych zasadach odbudowuje dziś wiarę w człowieka, jak i w odniesieniu do tej masy więźniów, którzy dali świadectwo, że nawet w tej sytuacji, w której system, zakładający pogardę człowieka, przybrał swą najokrutniejszą formę, można było prowadzić z nim walkę i zwyciężać.

W założeniu systemu obozów koncentracyjnych leżało: wyrwanie człowieka z wrogich faszystowski struktur kulturowych (poczynając od liberalizmu mieszczańskiego, kończąc na ustroju socjalistycznym), zepchnięcie go na pozycję istoty tylko biologicznej, by wresz-

cie w końcowym rezultacie tego procesu zniszczyć go i fizycznie.

Oto teraz zadanie dla reżyserki: pokazać bezbłędnie właściwy z dzisiejszego punktu widzenia system obrony. Zagadnienie jest bardzo skomplikowane, bo spójrzmy: niewątpliwie, protestem przeciwko nieludzkiej rzeczywistości obozowej było „pójście na druty”, czy wpędzał na nie strach przed głodem, czy obraz człowieka konającego w błocie, czy od razu narzucająca się mimowoli do ubabrane-go własnym kałem współwięźnia, czy pragnienie uchylenia się na tej drodze od maltretowania ze strony „capo”, czy blokowanie, a może właśnie „chęć uprzedzenia dostrzeżonego w sobie rozkładu człowieka”? Są to motywy wewnętrzne działania i jest ich obiektywny rezultat: — rezygnacja z życia jako protest przeciwko systemowi, a równocześnie zachowanie się, postulowane przez tenże system — unicestwienie się, samowykreślenie z listy wrogów porządku hitlerowskiego. Faktem jest, że na druty szli masowo żydzi belgijscy i holenderscy, ale nie dlatego, że reprezentowali określony naród, ale że byli członkami bogatej inteligencji mieszczańskiej, żyjącej w strukturze liberalizmu; faktem jest również, że nie było wypadku pójścia na druty wśród więźniów, rekrutujących się z żołnierzy Armii Radzieckiej czy partyzantki Titowej.

Ocena faktu „pójścia na druty” będzie tak długo sporna, dopóki nie przeprowadzimy jej z punktu widzenia określonych systemów. Moralność, jaką wypracował system liberalistyczny, dozwalała człowiekowi swobodnie



Kolysanka  
Zinowij Tołkaczew



Kwiaty Oświęcimia  
Zinowij Tołkaczew

## 1. DWULETNI PLAN GOSPODARCZY CZECHOSŁOWACJI (1947—1948)

Rozwijająca się coraz pomyślniej współpraca gospodarcza Polski z Czechosłowacją posiada dla rozwoju naszego gospodarstwa narodowego olbrzymie znaczenie. Czechosłowacja bowiem należy do najbardziej uprzemysłowionych krajów w Europie, posiada dobrze rozbudowany ciężki przemysł: dlatego jest w stanie eksportować nie tylko wyroby gotowe przemysłu lekkiego, ale również maszyny, środki transportu i t. p. artykuły inwestycyjne, których tak potrzebuje Polska w okresie odbudowy i rozbudowy przemysłu. Przykładowo, aby zdać sobie sprawę z możliwości eksportowych ciężkiego przemysłu czeskiego wymienić można dane dotyczące wywozu z Czechosłowacji w pierwszych trzech kwartałach roku 1947. W tym czasie wywiezła Czechosłowacja — żelaza i artykułów żelaznych za 3066 milionów koron czeskich, maszyn, narzędzi i części zamiennych do maszyn za 1400 milionów koron, samochodów za 1088 milionów koron, maszyny elektryczne za 621 milionów koron, artykułów chemicznych za 377 milionów koron (100 koron odpowiada 2 dolarom lub 800 złotym).

Jako kraj wysoce uprzemysłowiony Czechosłowacja z drugiej strony o wiele więcej potrzebuje węgla, niż jest go w stanie sama wyprodukować. Tego węgla jesteśmy w stanie jej dostarczyć.

Również bardzo korzystnie układa się możliwość współpracy z Czechosłowacją w zakresie transportu.

Większość importu i eksportu Czechosłowacji kieruje się do krajów zamorskich lub nadmorskich (Stany Zjednoczone, Szwecja, Wielka Brytania, Holandia, Belgia i t. d.). Czechosłowacja więc nie posiadając własnego dostępu do morza korzystać musi z obcych portów. Przed wojną cały tranzyt czeski kierowano Łabą do Hamburga. Dziś nie stoi nic na przeszkodzie, aby cały handel zamorski Czechosłowacji skierować przez polskie porty ze Szczecinem na czele. Pełne wykorzystanie Odry, jako drogi wodnej, wymaga ścisłej współpracy z Czechosłowacją. Nie wystarczy bowiem dla ożywienia Odry sam tylko transport węgla wdół do Szczecina z Zagłębia Węgielnego, barki bowiem rzeczne powracające ze Szczecina po węgiel, winny również zabierać ładunek w górę rzeki, bo tylko przy dwukrotnym obciążeniu transport Odrą wytrzyma kalkulację. Jeżeli uprzytomnimy sobie, że samej tylko rudy szwedzkiej sprowadzają Czechosłowacja w trzech kwartałach 1947 r. — 1317 tysięcy ton, to stanie się jasne, że skierowanie również importu czeskiego Odrą ze Szczecina do Koźła posiada dla ożywienia ruchu towarowego na Odrze podstawowe znaczenie.

Zamierzona budowa kanału Odra—Dunaj, łączącego Bałtyk z Morzem Czarnym, na którą Czesi i Polacy przeznaczali już w r. 1948 poważne sumy w planach inwestycyjnych na studia i pomiary przygotowawcze, niewątpliwie wpłynie w wysokim stopniu na ożywienie tranzytu czeskiego przez Polskę.

Tego typu spraw wiążących gospodarkę czeską i polską jak problem inwestycji czy tranzytu można wymienić o wiele więcej. Wszystkie one przemawiają za rozszerzeniem współpracy gospodarczej obu krajów.

Jeśli do tego dodamy fakt, że obłą te demokracje ludowe posiadają zbieżne interesy polityczne, polegające z jednej strony na ścisłym sojuszu ze Związkiem Radzieckim, a z drugiej na jednakowej postawie wobec Niemiec, co znalazło tak dobitny wyraz w naradzie styczniowej trzech ministrów spraw zagranicznych Polski, Czechosłowacji i Jugosławii w Pradze Czeskiej, to stwierdzić musimy, że współpraca gospodarcza polsko-czeska posiada mocny fundament polityczny.

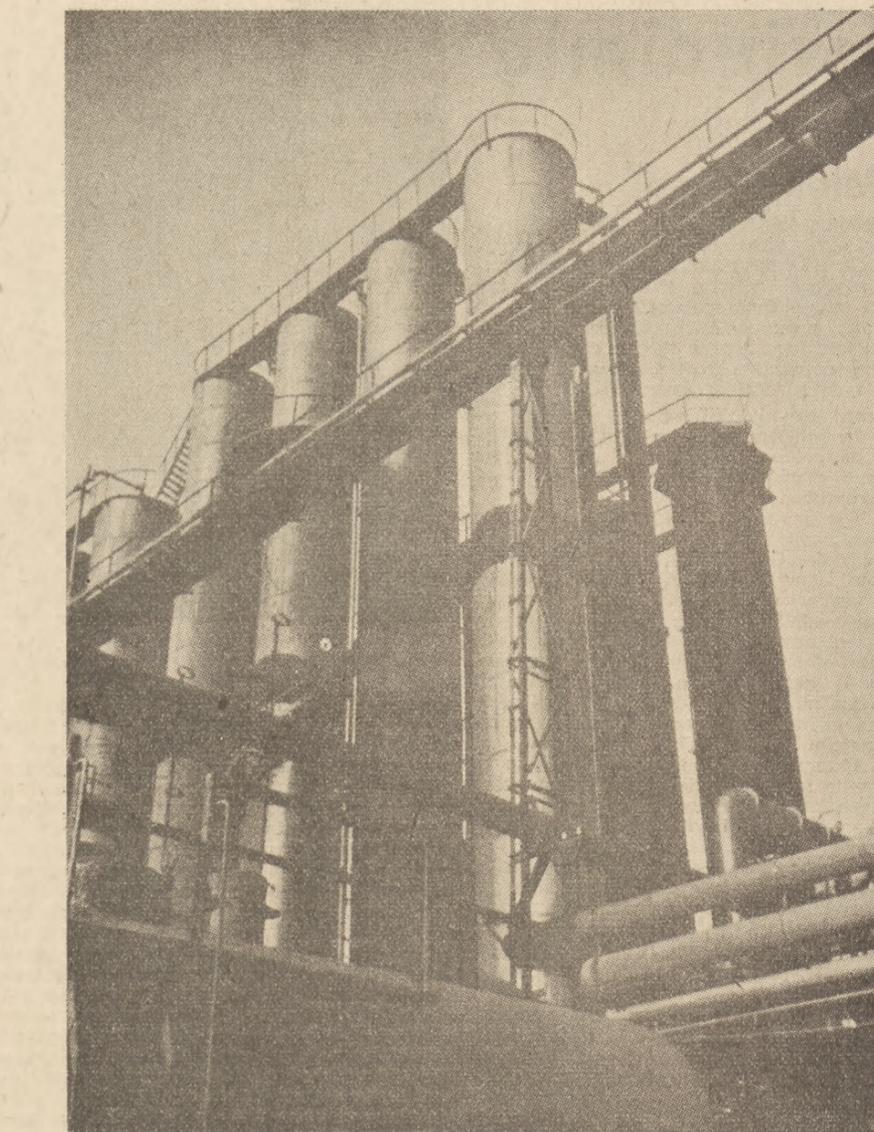
Wspólna granica polsko-czeska na przestrzeni 1346 km stanowi również wielką zachętę do rozwijania bliższej współpracy, której brak przed rokiem 1939 tak bardzo ułatwił rozwój imperializmu niemieckiego i pozwolił Niemcom na podbój po kolei skłóconych ze sobą tych dwóch krajów słowiańskich.

## 2. WYKORZYSTANIE CZESKICH DOSWIADCZEN

Nasze zainteresowanie się Czechosłowacją płynie i z jeszcze jednego źródła. Pod względem uprzemysłowienia kraju i struktury zawodowej ludności Czechosłowacja znacznie wyprzedziła Polskę. Ogólnie formułując powiedzić można, że wyprzedziła nas o lat co najmniej kilkanaście i znajduje się na tym etapie rozwoju, który Polska osiągnie dopiero po kilku planach gospodarczych. Już bowiem w r. 1930 (data ostatniego powszechnego spisu ludności w Czechosłowacji) struktura zawodowa ludności Czechosłowacji przedstawiała się w porównaniu z Polską, jak następuje:

Zatrudnieni w % ogółu ludności:					
	Czechy	Słowacja	Czechosłowacja (razem)	Polska	Polska
	1930	1930	1930	1931	1947
rolnictwo	24	53	35	61	55
przemysł	41	20	35	19	22
inne zawody	35	27	30	20	23

Nie trzeba dodawać, że od r. 1930 tempo urbanizacji było w Czechach o wiele szybsze niż w Polsce i dlatego wzrost liczby zatrud-



Pieczka benzolowa koksowni Waleńy Wawel (Ruda Śląska, Górny Śląsk)

Stanisław Cieślak

# O CZECHOSŁOWACJI, O NAS I OPTYMIZMIE

nionych w przemyśle kosztem zatrudnionych w rolnictwie przebiegał tam o wiele szybciej niż w Polsce.

Dla tych niewiele już na szczęście niedowiarków, którzy wątpią w podstawową tezę naszej polityki gospodarczej, że nie ma dobrobytu bez rozwoju przemysłu, bez przesunięcia poważnej części ludności rolniczej do zawodów nierolniczych — przykład Czechosłowacji jest argumentem nie do odparcia. Ten bowiem kraj, w którym dziś nie więcej niż 1/4 ludności zajmuje się rolnictwem posiada nie tylko samowystarczalność żywnościową i to na poziomie życia o wiele wyższym niż w Polsce, ale nadwyżki eksportowe artykułów rolniczych.

Dlatego na przykładzie Czechosłowacji powinniśmy śledzić etapy likwidacji przeludnienia wsi i z ich doświadczeń wysnuwać wnioski dla nas, tym bardziej że Czesi zabraли się w latach 1947 i 1948 bardzo energicznie do uprzemysłowienia i zmiany struktury zawodowej w najmniej uprzemysłowionej swej części, a mianowicie w Słowacji. Z lęb planu gospodarczego dwuletniego wynika, że na inwestycje przemysłowe, komunikacyjne i energetyczne w Słowacji rząd czeski zamierza wydać w latach 1947 i 1948 — 32% ogółu sum inwestycyjnych czyli 22.140 milionów koron czeskich (czyli około 180 miliardów złotych). Jeśli sobie przypomnimy, że Słowacja przy powierzchni 49 tys km kw. liczy 3 i pół miliona ludności, to wysiłek czeski wyda nam się imponujący i w naszych warunkach godny zazdrości i naśladowania.

## 3. OGÓLNE ZAŁOŻENIE PLANU CZESKIEGO

Ustawa o czeskosłowackim planie dwuletnim z dnia 25. 10. 1946 r. tak precyzuje podstawowe zadanie planu:

a) „w przemyśle przekroczyć z końcem roku 1948 ogólny poziom produkcji z roku 1937 o 10%;

b) w rolnictwie osiągnąć pod koniec roku 1948 poziomu produkcji przedwojennej;

c) w budownictwie zaopatrzyć w potrzebną liczbę mieszkań, wykonać wielką budowę dla przemysłu i rolnictwa, odnowić i uzupełnić komunikację publiczną oraz urządzenia dla celów zdrowotnych, wykonać i ulepszyć budowle wodno-gospodarcze oraz urządzenia kanalizacyjne, jako też wykonać naglące budowle samorządowe;

d) w komunikacji ogólnej dopiąć wydatności z roku 1937;

e) przyspieszyć się do przyspieszenia zrównania poziomu gospodarczego Słowaczyny i krajów czeskich, zwiastująca przez doskonałe wykorzystanie zasobów surowcowych i energetycznych jako też sił pracowniczych

oraz przez wytworzenie możliwości pracy na Słowaczynie;

f) podnieść słabe pod względem gospodarczym okręgi w krajach czeskich. W wykonaniu tych podstawowych zadań podniesiona zostanie odpowiednio produkcja dóbr konsumpcyjnych“ (art. 1 ustawy).

Jakie konkretne zadania stawia przed gospodarstwem Czechosłowacji dwuletni plan gospodarczy? Wyjaśniają to zawarte w ustawie cyfry kontrolne planu na koniec r. 1948. Dla porównania podajemy obok cyfry kontrolne polskiego planu na koniec r. 1948. Przy tym należy pamiętać o różnicy w powierzchni i zaludnieniu obu tych krajów:

	Powierzchnia w tys. km <sup>2</sup>	Ludność w tys. osób	Osób na 1 km <sup>2</sup>
Polska	312,9	23.622	75
Czechosłowacja	127,8	12.242	109

Oto najbardziej charakterystyczne liczby:

	Czechosłowacja 1948	Polska 1948
W produkcji górniczej:		
węgiel kamienny	17.746 tys. ton	67.500 tys. ton
węgiel brunatny	23.900 tys. ton	3.959 tys. ton
koks	3.910 tys. ton	3.250 tys. ton
ruda żelazna	1.737 tys. ton	700 tys. ton
ropa naftowa	82 tys. ton	155 tys. ton

W energii:		
prąd elektryczny	7.400 milion. KWh	7.400 milion KWh
gaz świetlny	420 milion. m <sup>3</sup>	291 milion. m <sup>3</sup>

W hutnictwie:		
surówka żelazna	14.600 tys. ton	1.200 tys. ton
stal	2.400 tys. ton	1.750 tys. ton
odlewy	330 tys. ton	33 tys. ton
wyroby walcowane	1.650 tys. ton	1.125 tys. ton

W przemyśle metalowym:		
wagony kolejowe	15.240 sztuk	15.000 sztuk
traktery	9.000 sztuk	400 sztuk
maszyny rolnicze wartości	20 milion. dol.	10 milion. dol.

W nawozach sztucznych:		
nawozy azotowe	220 tys. ton	406 tys. ton
fosforowe	380 tys. ton	400 tys. ton

W przemyśle żywnościowym:		
cukier	672 tys. ton	521 tys. ton
masło	50 tys. ton	o. d.
sztuczne tłuszcze jadalne	70 tys. ton	b. d.

W rolnictwie zamierza się osiągnąć produkcję:

pszenicy	1.485 tys. ton	1.408 tys. ton
żyte i mieszanki	1.187 tys. ton	4.860 tys. ton
jęczmienia	1.123 tys. ton	1.209 tys. ton
ziemniaków	8.782 tys. ton	27.140 tys. ton
buraków cukrowych	4.719 tys. ton	3.850 tys. ton
mięsa wołowego	160 tys. ton	74 tys. ton
mięsa wieprzowego	265 tys. ton	592 tys. ton
mleka	32.559 tys. hl	46.000 tys. hl
jaj	1.172 mil. sztuk	2.560 mil. sztuk

Tak wyglądają przykładowo wybrane z ustawy lębby kontrolne obu państw.

## 4. PLAN INWESTYCYJNY

Podobnie jak w Polsce plan inwestycyjny Czechosłowacji na lata 1947 i 1948 stanowi część ogólnego planu gospodarczego. Wydatki na inwestycje stanowią (podobnie jak w Polsce) w każdym roku planu około 20% ogólnego dochodu społecznego, co świadczy o dużym stosunkowo wysiłku, jaki, oba społeczeństwa wkładają w odbudowę i rozbudowę swego gospodarstwa. Nie trzeba dodawać, że Polska jako kraj o wiele bardziej zniszczony przez wojnę niż Czechosłowacja zdobywa się w latach planu na wysiłek — wiele większy, niżby to wynikało z prostego zestawienia liczb procentowych.

Inwestycje dzielą się w sposób następujący (w lębach zaokrąglonych):

	Czechosłowacja 1947—1948	Polska 1947—1948
	w mld. koron	w % w mld. zł
przemysł	25	36
komunikacja	15	22
rolnictwo	5	7
budownictwo rob.	14	20
mieszkańców	10	15
inne	10	15
Razem:	69	100
	100	286
		100

Z pobieżnego porównania (niezbyt niestety ścisłego, wskutek nieco innego podziału inwestycji i dodawania sum normalnych) widać, że w planach inwestycyjnych Polski o wiele większą procentowo sumy przeznaczane są zarówno na rolnictwo jak i na pozycje inne, w których mieści się przede wszystkim oświata, kultura, sztuka i zdrowie. Z ogólnej sumy inwestycji dwuletniego planu czeskosłowackiego na Słowację przypada 22 miliardy koron (czyli przeszło 32 proc. ogólnej sumy planu) z tego na przemysł — 7 miliardów koron, na rolnictwo (a zwiastuje na jego mechanizację) — 2 miliardy koron, na komunikację — 5 miliardów koron, na budowle ziemne, wodnogospodarcze, komunikacyjne i inne budowle publiczne 4 miliardy koron. W ramach tych inwestycji przewiduje się przeniesienie na Słowację, z pogranicza niemieckiego pewnej ilości zakładów przemysłowych i rzeźni, które dadzą zatrudnienie w Słowacji co najmniej 26 tys. robotników.

Na inne okręgi Czechosłowacji gospodarczo słabsze (Czechy południowe, okręg nad Brdą, Wyżyna Czesko-Morawska itd.) plan przewiduje około 5 miliardów koron.

W zakresie środków inwestycyjnych dla rolnictwa interesująco przedstawia się plan produkcji maszyn i narzędzi rolniczych. Na koniec 1948 r. przewiduje się osiągnięcie produkcji rocznej:

maszyn do uprawy i przygotowania ziemi — 80.000 sztuk, maszyn do zasiewów i sadzenia — 10.000 sztuk, maszyn do obróbki zasiewów — 8.000 sztuk, żniwiarek — 24.000 sztuk, maszyn do przygotowywania pokarmów dla zwierząt — 48.000 sztuk, traktorów — 9.000 sztuk.

## 5. TRUDNOŚCI WYKONANIA

Dwuletni plan postawił przed gospodarstwem Czechosłowacji nielatte zadania. Osiągnięcie liczb kontrolnych na rok 1948 oznacza w porównaniu do roku 1945 skok w węglu o 50 proc., w żelazie surowym o 300 proc., w produkcji wagonów o 50 proc., obrabiarek o 75 proc., w mięsie wołowym o 38 proc., wieprzowym o 100 proc., w mleku o 75 proc. itd. Są to zadania nielatte dla Czechosłowacji, a to z wielu względów: 1) braku sił roboczych, 2) niepełnej nacjonalizacji przemysłu, 3) katastrofalnej suszy w r. 1947, 4) trudności eksportowo-importowych. O każdym z nich słów kilka.

1) Brak sił roboczych to pięta achillesowa gospodarki czeskiej. Wyciecenie ok. 3 milionów Niemców zamieszkujących zwartą masę ziemię pogranicza Czech i Moraw z silnie rozwiniętym przemysłem postawiło przemysł czeski wobec straty ok. 250 tys. wykwalifikowanych sił roboczych. Z tego 180 tys. udało się uzyskać przez mobilizację rezerw z głębi kraju,

pozostaje jeszcze do zdobycia ok. 70 tys. wykwalifikowanych sił roboczych dla pełnego wykorzystania możliwości produkcyjnych tego przemysłu, który pozostanie na pograniczu. Poważna bowiem część przemysłu z pogranicza przeniesiona będzie w latach planu i później do Słowacji i innych gospodarczo zaniedbanych okręgów czeskich posiadających względnie nadwyżkę sił roboczych. Ostatecznie na ziemiach ponemieckich osiedlono już ok. 2200 tys. Czechów, do osiedlenia do końca 1948 pozostaje jeszcze ok. 300 tys. osób. Ponieważ tempo mechanizacji rolnictwa czeskiego nie mogło być tak szybkie, jak pompowanie ze wsi rezerwy roboczych do przemysłu wytworzył się i na odcinku rolniczym poważny brak rąk do pracy, pokryty w roku zeszłym sezonową emigracją robotników rolnych z Rumunii i Węgier w ilości kilkudziesięciu tysięcy osób. Dlatego też artykuł 9 ustawy o dwuletnim planie gospodarczym Czechosłowacji wprowadza narodową mobilizację sił roboczych:

„Dla wykonania zadań ustalonych w rozdziałach 1-5 (ustawy) poczynione zostaną zarządzenia o wzięciu i przeniesieniu do przemysłu ok. 270 tys., do budownictwa ok. 90 tys., do rolnictwa i leśnictwa ok. 230 tys. sił pracowniczych. Zarazem wytworzone zostaną warunki dla podniesienia wydajności pracujących przeciętnie o 10% w porównaniu z rokiem 1937”.

2. Nacjonalizacja przemysłu w Czechosłowacji objęła tylko największe zakłady gdyż granica nacjonalizacji (wg. liczby zatrudnionych robotników) była o wiele wyższa niż w Polsce, i tak w przemyśle papierniczym 300 robotników, w tekstylnym 400, w metalurgii 500 robotników i t. p. W rezultacie w ręku państwa znalazła się prawie całość przemysłu ciężkiego (który z natury swojej nie może być przemysłem bardzo dochodowym!) natomiast stopień nacjonalizacji w przemyśle lekkim, bardziej dochodowym wynosił:

w przemyśle:	
obróbki drzewa	25% ogólnej ilości zatrudnionych
odzieżowym	29% ogólnej ilości zatrudnionych
gorzelniczym	25% ogólnej ilości zatrudnionych
spożywcym	18% ogólnej ilości zatrudnionych
drukarskim	2% ogólnej ilości zatrudnionych
cukrowniczym	68% ogólnej ilości zatrudnionych

Ten stan rzeczy doprowadził na jesieni do groźnych objawów inflacyjnych i zachwiał walutę czeską, brak bowiem dochodów ze znacjonalizowanego przemysłu zmusił rząd do pokrywania wydatków inwestycyjnych w o wiele poważniejszym stopniu niż w Polsce z emisji a nie z dochodów skarbu państwa.

Ten stan rzeczy na długą metę nie mógłby być utrzymany i nowy rząd, jaki doszedł do władzy, po nieudanej próbie przesilenia rządowego wywołanej przez reakcję czeską, postanowił pogłębić nacjonalizację idąc pod tym względem za wzorami polskimi.

3. Katastrofalna susza w roku 1947 postawiła pod znakiem zapytania wykonanie planu rolniczego. Straty rolnictwa czeskiego w zbożu, burakach cukrowych, oleistych i paszy wyniosły ponad 12 miliardów koron. Do tego należy dodać katastrofalne straty w produkcji zwierzęcej na skutek braku pasz. W rezultacie tej klęski zbiory w roku 1947 wypadły niżej w porównaniu do planowanych, dla pszenicy o 56%, dla żyta o 72%, dla jęczmienia o 63%, dla owsa o 72%, dla ziemniaków o 48%, dla buraków cukrowych o 53%, dla paszy o 66%. Gdyby nie szybka pomoc Związku Radzieckiego, który dostarczył jeszcze na jesieni 1947 r. wielkich ilości zboża sytuacja żywnościowa mogła stać się katastrofalna.

4. Import czechosłowacki na lata planu przewidywany był w wysokości 500-600 milionów dolarów rocznie i miał być w całości pokryty eksportem. Postawiono to przed handlem zagranicznym Czechosłowacji konieczność zwiększenia o 40% wywozu w porównaniu z rokiem 1946. Niskie zbiory i niemożność eksportowania artykułów rolniczych, które zawsze w wywozie Czechosłowacji stanowiły poważną pozycję oraz konieczność importu zbóż i innych artykułów żywnościowych w roku 1947 i 1948 postawiły Czechosłowację w trudnej sytuacji. W dodatku pamiętać należy, że w r. 1947 największą pozycję w handlu zagranicznym Czechosłowacji stanowiły kraje, które przyjęły plan Marshalla. Ponieważ imperialiści amerykańscy pragną przy wymianie handlowej dyktować wszystkim krajom warunki polityczne, ograniczając suwerenność, Czechosłowacja musi się już w roku 1948 poważnie liczyć z koniecznością zmiany struktury swego handlu zagranicznego i rozszerzyć wymianę z sąsiadami kosztem krajów zamorskich.

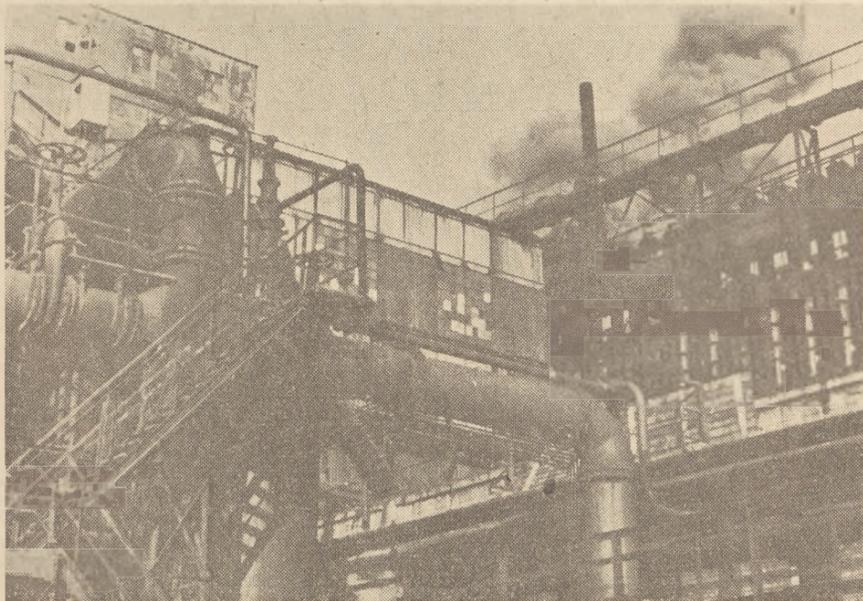
Dlatego też rozszerzenie stosunków handlowych z Polską staje się dla Czechosłowacji pilną koniecznością.

Mimo tych wszystkich trudności naród czechosłowacki dzielnie sobie radzi z nimi.

Plan produkcyjny przemysłu został w trzech pierwszych kwartałach wykonany w 99,7%. Trudności eksportowo-importowe będą rozwiązywane przez rozszerzenie współpracy z krajami słowiańskimi, w pierwszym rzędzie z Polską\*) Rozszerzenie wreszcie racjonalizacji przemysłu i reformy rolnej, zapowiedziane przez nowy rząd zdynamizuje niewątpliwie.

\*) Niedawny, pierwszy wyjazd do Pragi Ministra Przemysłu i Handlu H. Mjncza.

liwie masy pracujące do realizacji planu. Spodziewać się również należy, że za wzorem polskim, zostanie dokonana w Czechosłowacji i reforma podatkowa, która pozwoli rozłożyć wielki wysiłek inwestycyjny na całe społeczeństwo sprawiedliwie. Dotychczas największy udział w ponoszeniu kosztów realizacji planu ponosiła klasa robotnicza i niezamożne chłopstwo, zamocna część społeczeństwa czeskiego nie świadczyła w tym stopniu co inne warstwy uboższe.



Wielka koksownia w Rybniku (Górny Śląsk)

## 6. PORÓWNANIE Z TRZYLETNIM PLANEM ODBUDOWY W POLSCE

Przy porównaniu obu planów uderza wyraźna zbieżność w sformułowaniu podstawowych zadań planu u nas i w Czechosłowacji.

Jest nim podniesienie stopy życiowej szerokich mas powyżej poziomu przedwojennego. Zbieżność ta nie jest przypadkowa. System gospodarki planowej jest bowiem dziekiem marksizmu, nie da się go realizować w

warunkach kapitalistycznych, można go urzeczywistnić dopiero w warunkach, kiedy w ustroju i gospodarce zjawiają się podstawowe elementy ustroju i gospodarki socjalistycznej w postaci nacjonalizacji przemysłu, finansów, handlu zagranicznego, jak również reformy rolnej. A marksizm za główny swój cel stawia sobie poprawę bytu i warunków życia mas pracujących, jedynych gospodarzy kraju.

Z faktu jednak, że pod wzgl. struktury zawodowej i stopnia uprzemysłowienia Czechosłowacja w swoim rozwoju historycznym wyprzedziła Polskę o jeden co najmniej etap, wynikają i różnice w obu planach.

Nasz plan trzyletni jest jeszcze głównie planem odbudowy zniszczonych wojennych, plan czechosłowacki jest w większym stopniu planem odbudowy gospodarstwa narodowego. Wynika to nie tylko z większego zaawansowania gospodarczego Czechosłowacji, ale również z o wiele mniejszych w porównaniu z Polską zniszczeń wojennych. Kto widział stan przemysłu, komunikacji, rolnictwa, miast w r. 1945 po przejściu frontu w Polsce i porówna to ze zniszczeniami w Czechosłowacji, powie, że Czechosłowacja wyszła z wojny prawie nietknięta.

Dlatego też Czechosłowacja może rozbudowywać w silniejszym stopniu przemysł, może rzucić większe procentowo sumy na budownictwo mieszkaniowe, może już myśleć o podciągnięciu okręgów słabych gospodarczo, niedoinwestowanych, do poziomu przodujących okręgów przemysłowych.

Te same problemy staną i przed nami po zakończeniu trzyletniego planu odbudowy. Jednym z głównych zadań, jakie staną przed polskim narodem po r. 1950, będzie podciągnięcie ziem południowo-wschodnich do poziomu Ziemi Odzyskanych.

W latach 1945 — 1947 wykonane już zostały podstawowe zadania w dziedzinie zagospodarowania Ziemi Odzyskanych. Śląsk Opolski, Dolny Śląsk, poważna część Wybrzeża tętni już życiem i pracą bardziej niż przed wojną; W tym roku rusza z rozmachem Szczecin, a z nim i całe województwo szczecińskie, stanowiące jego zaplecze. Najgorzej pod wzgl. zagospodarowania przedstawia się jeszcze ziemia lubuska i woj. olsztyńskie, ale i tym terenem zostanie przywrócona ich sprawność gospodarcza jeszcze do końca planu trzyletniego to jest do końca roku 1949. Bogactwo przemysłowe Ziemi Odzyskanych dla każdego Polaka stało się już sprawą oczywistą. Fakt, że w r. 1947 przeciętny zbiór z ha dla wszystkich ziemiopłodów (z wyjątkiem jęczmienia i buraków cukrowych) na Ziemiach Odzyskanych był większy niż na Ziemiach starych, świadczy nie mniej wymownie o bogactwie rolniczym tych ziem, o ich nowoczesnych podstawowych urządzeniach rolnych.

W następnych latach stanie przed nami w całej swej ostrości, konieczność podciągnięcia poziomu woj. białostockiego, warszawskiego, lubelskiego, kieleckiego, rzeszowskiego, krakowskiego do poziomu Górnego Śląska i Ziemi Odzyskanych. Niedaleki to czas, kiedy tak jak w Czechosłowacji się już stało, trzeba będzie conajmniej 1/3 wszystkich inwestycji rzucić na zagospodarowanie i unowocześnienie tych ziem zaniedbanych leżących w środku i na wschodzie Polski.

Do wykonania tego zadania już dziś — jesteśmy jeszcze za słabi. Obecny nasz potencjał przemysłowy jest jeszcze za mały do wykonania tak wielkiego dzieła. I dlatego po planie Odbudowy Gospodarczej musi u nas nastąpić plan modernizacji i rozbudowy istniejącego przemysłu i dopiero na bazie nowej, nowoczesnej techniki i na bazie zwiększonego potencjału przemysłowego będzie się można pokusić o podciągnięcie ziem starych do poziomu Ziemi Odzyskanych i pod względem wyposażenia technicznego i zdolności produkcyjnej.

W tych planach rozbudowy polskiego przemysłu współpraca gospodarza z Czechosłowacją odgrywać będzie większą rolę, bo pozwoli nam na szybszy wzrost uprzemysłowienia w oparciu o import artykułów inwestycyjnych z zaprzyjaźnionego z nami kraju.

Stanisław Cieślak

## W OSTATNIM NUMERZE 16 (145)

z dnia 18 kwietnia 1948 r.

Tadeusz Orlewicz — Francja, Francja!...; Mieczysława Buczkówna — Dziewczyna mówi z grobu; Henry Lecourtois — Wraki; Listy polityczne: — Służba Polsce; Witold Jedlicki — Bezdroża egzystencjalizmu; Witold Kula — Anglia w świecie powojennym; Józef Putek — Walka parlamentarna kmiecia z zagrodnikiem; Paul Eluard — Do Pabla Picasa — Kres potworności; Lech Budrecki — Czy taki jest los człowieka?; Jan Aleksander Król — W „Chłopach i Państwie” pugu, pugu; Mieczysława Buczkówna — Dawno znajomej; Zofia Pręczyk — Morgi; Józef Bryczek — Żeromski w teologicznym wykładzie; Anna Kamińska — Z Kwestarzem Wielkanocnym sprawa; Michał Balara — Zniesiono pańszczyznę dopiero w r. 1931; Znaciec i?; O. C. — Cacy — pensjonarka; Jerzy — Cacy — studenci; Tckla — Cacy ciocia; Zdzisław — List do wydawców; Z. Kasprzak — Dwie sprawy; Famulski Franciszek — Czekamy na odpowiedź; Komunikaty; 19 ilustracji; stron 12.

## Listy polityczne

# Przed reformą oświatową

### Kochana przyjaciółko!

Przesz mi, że Wy tam na prowincji — zafocanej i biernej obserwujecie lepiej fakt, który dla mieszkańców wygląda jak katastrofa przyrodnicza: polityka podmywa coraz szersze tereny życia. W poczuciu zagrożenia ludzie cofają się coraz głębiej — nie są już bezpieczni nawet w kinie, zorientowali się, że nie tylko w filmach przychodzących z Rosji, ale i z Zachodu działa pod formą melodramatu filmowego wielki blok polityczny. Inna rzecz, że Twój znajomi sąsiedzi — nie uważają zachodnich tendencji w sztuce i literaturze za politykę. Nawet rodzina przestała być gruntem politycznie neutralnym. Doświadczasz tego boleśnie, zdaje się, na własnej skórze. Ani miłość, ani żadne rodzinne przywiązania nie zabezpieczają dziś od zasadniczych różnic ideologicznych. Mówiliśmy wiele o tym, jak to zjawisko rozbiła rodziny, tak typowe dla naszej epoki, czeka na opracowanie literackie, dramatyczne. Coraz bardziej ludzie osuwają się z politycznością spraw kultury. Jednego tylko chcielibyśmy od polityki: neutralności szkoły. Dlatego chyba sprawa szkolna jest dziś świetnym termometrem do mierzenia temperatury radykalizmu różnych środowisk. Stąd tyle teraz plotek u was, dysput, leków na temat projektu ustawy szkolnej, jaka prawdopodobnie będzie przedmiotem obrad jesiennej sesji sejmowej. 11-letni okres nauki w dwóch etapach: 7+4. Cóż to znaczy dla Twóich „strasznych mieszczan”? Dwie rzeczy: 1) skrócenie czasu t. zw. średniego wykształcenia i 2) rozszerzenie tego wykształcenia średniego na szersze warstwy ludności. Kult dla nauki, dla wszechstronnej oglądy kulturalnej jest u nas zakorzeniony razem z kultem dla inteligenta jako typu społecznego.

A oto te dwa aspekty ustawy szkolnej zagrożają tradycyjnej pozycji inteligencji polskiej. Z jednej strony skrócony czas nauki średniej musi wpłynąć na uprządkowanie treści wykształcenia średniego, na uzawodowienie go, z drugiej strony zostanie rozbit w stopniu ostatecznym izolacjonizm inteligencji, gdy nie tylko ten i ów z ludu, ale cała masa osiągnie równy poziom, poziom kwalifikujący dotychczas na inteligenta.

Mój Boże! Czy rzeczywiście pan P. tak się martwi, że młodzież nie zdąży w szkole przeczytać całego Liwiusza i nie przerobi wszystkich zadań trygonometrycznych?

To jest ubolewanie w ogóle nad typem inteligenta polskiego: konsumenta europejskich smakolepków kultury, które będzie on musiał podzielić z ludem: z robotnikami i chłopami. A u was tam jeszcze: z rzemieślnikiem. Upowszechnienie średniego szkolnictwa zawodowego zagraża przysłówowej ciemności szewca, którym straszoną leniów gimnazjalnych.

Jest i inna sprawa charakteryzująca naszą społeczną opinię. Wasi prowincjonalni wrogowie polityki nie łatwo godzili się w 45 roku na projekt ośmioletniej szkoły powszechnej. Dziś bronią tego jednego roku tak, jakby szkoła o zbawienie własnej duszy; uważają szkołę 7-letnią za kradzież kulturalną popełnioną przede wszystkim na chłopie, gdyż szkoła średnia 11-letnia nie od razu i nie na każdej wsi się znajdzie.

Sama uczyłaś przecież w szkole I stopnia na zapadłej wsi. Szkoła I stopnia! tuż pod bokiem dworu, gdzie w saloniku wśród nut le-

żały malowane adresy dzieci szkolnych dla opiekunów — państwa, tuż pod bokiem plebanii, tuż pod bokiem jednej rodziny S., która 2 synów wykształciła na księży — stała ta szkoła I stopnia dzieląca nawet i tak szczupły lokal ze sklepikiem. W jednej izbie uczyłaś 2 klasy, 3 lata dzieci tkwiły w jednej klasie nie posuwając się naprzód. — „Fakże się, pani nauczycielko, uczy mój Józek? Będą z niego ludzie?”

A Wł. Weychert - Szymanowska pisała w 1936 r.: „Oto dziś po 17 latach Polski niepodległej nie mamy jeszcze tego, co budziło entuzjazm w 1915 r. — nie mamy szkoły powszechnej dla wszystkich dzieci, nie staliśmy z czoła niewolniczego piętna analfabetyzmu. W bieżącym roku szkolnym 1 milion 200 tysięcy dzieci nie ma się gdzie uczyć”.

Wówczas radykalne nauczycielstwo żądało:

- 1) zwiększenia budżetu szkolnego,
- 2) natychmiastowego przerwania reorganizacji szkoły powszechnej w myśl 3-stopniowej reformy szkolnej.

Nikt dziś nie występuje przeciwko jednolitej szkole powszechnej. Skrócenie nauki o 1 rok z projektowanych 8 na 7 lat nie powinno już epatować opinii. Projektowanych — podkreślam — bo przecież jeśli chodzi o wieś, mało gdzie powstała ta 8-ma klasa. I tu jest problem. Jesteśmy ciągle na tak wstępnym etapie upowszechnienia kultury i oświaty, że rozszerzenie bazy szkoły podstawowej jest nadal ważniejsze niż podniesienie poziomu wykształcenia na wsi, co było dostępne dotychczas tylko wsiom wyjątkowym. Nie okłamujmy się. Szkół mieliśmy mniej w Polsce i na wsi niż kościołów, więcej petentów do spowiedzi z kartką kontrolną (a tak!) niż czytelników pism i książek.

Gimnazja chłopskie, o których dyskutowaliśmy kiedyś, zakorzenili się w środowisku wiejskim o wiele łatwiej i głębiej, niż przypuszczaliśmy obie. Oczywiście brak nauczycieli, brak wykwalifikowanych nauczycieli, nawet gdy znajdują się nauczyciele dobrej woli i końskiej pracy od rana w szkole, do późnego wieczora w gimnazjum. I w tym sensie, bo nie przez brak uznania w środowisku, gimnazja chłopskie były często obcym ciałem na wsi. Zagęszczenie sieci szkół pełnych 11-letnich to będzie stopniowe, coraz mocniejsze wrastanie kultury na wsi. To będzie już nawet sąsiedztwo wsi z uniwersyteciem.

Partie polityczne wyraziły swą opinię w sprawie szkolnej, Komisja Sejmowa opracowała projekt. Wszystkie dyskusje na tematy demokratyzacji kultury, które nas tak zajmowały w 45-6 roku tu się zbiegają. I choć oczywiście ustawa szkolna nie będzie jakąś żelazną ramą, choć praktyka realizacji wytyczy ostatecznie jej normy, będzie ona reformą konsekwentnie wynikającą z poprzednich gospodarczo-strukturalnych, reform dla nas zasadniczą, o znaczeniu nie tylko moralno-społecznym, ale politycznym.

A oto tu masz coś, co przysłał Ci się w rozmowach z prowincjonalnymi „politikami”: według spisu z 1931 r. było w Polsce około 6,5 miliona analfabetów.

Lata do wojny i lata wojenne pracowały na to, aby powiększyć tę cyfrę. O sprawie szkolnej pisze się u nas za mało. Ale wydaje mi się, że tu rzeczywiście można kończyć dyskusję. A czy myślisz, że większa część tej tragicznej liczby nie przypada na wieś?

Paulina

Szanowny Panie Redaktorze!

Jeżeli chcecie stworzyć mysz, weźcie garnek z ziarnem, zatkajcie go brudną koszulą a za miesiąc wybiegnie z niego cała gromada myszy”. To zdanie Helmonta pisane w XVII-tym wieku przypominało mi się po przeczytaniu w numerze świątecznym „Odrodzenia” artykułu Ksawerego Pruszyńskiego p. t. „Kwestarz Wielkanocny”.

Wymieniony pisarz spędził tydzień czasu w Lubelszczyźnie z czego dzień w Chełmie. Tu spotkał się, jak pisze, z żywym, silnym inteligentnym kontaktem z publicznością. Publiczność tę stanowiło w znacznej większości nauczycielstwo i inni przedstawiciele miejscowej inteligencji. Pruszyński nie widział, nie dojrzał, bo i trudno mu było zresztą, w ciągu jednego dnia — nie dojrzał prowincjonalnych myszy.

Jeśliby ktoś chciał stworzyć mysz prowincjonalną, musiałby przyjąć receptę według wzoru Helmonta. W garnku prowincjonalnego miasteczka stworzyć warunki gospodarcze, oparte na zbożu rolnej okolicy i zatkać to brudną koszulą dorobkiewiczstwa. Choćby njestrudzony Kaj (Kazimierz Andrzej Jaworski) przebiegał okno na kulturalny świat, choćby garstka nauczycieli wskazywała drogę postępu — niewiele przyjdzie z ich wysiłków.

Z garnka pokażą nosy przeróżne myszy: sklepowe, biurowe, kościelne, warsztatowe i te przybyłe ze wsi — myszy będą siedzieć w garnku, tworząc uparcie towarzystwa własnej adoracji.

#### RODOWÓD GETTA

Czy Chełm jest typowym miasteczkiem prowincji? Chyba tak, choć jest oryginalny — jedyne chyba miasto w Polsce położone na górze, na przeto odmienny urok. Liczy dziś około 24 tysięcy mieszkańców. Nawet przybysz po kilku godzinach powie, że jest to miasto wybitnie dzielnicowe. Wyodrębniły cztery: 1) stare miasto, 2) dzielnica urzędnicza, 3) dzielnica kolejowa, 4) dzielnica przedmiejska. Każda z tych dzielnic stanowi odrębny świat.



Kościół Rozesłania św. Apostołów  
Lincryt Zenona Waśniewskiego

Dlaczego odrębny świat? Czy dlatego, że część dzielnicy kolejowej tzw. dyrekcja ma wodociąg, że na „piliłchonkach” (taka popularna nazwa dzielnicy przedmiejskiej) pełno walących się ruder, czy dlatego wręcz, że jedna dzielnica jakby gardziła drugą? Przecież te wodociągi, te rudery, ta pogarda dzielnicy są zaledwie widocznymi znakami, we mgle. Postarajmy się przedrzeć przez tę mgłę.

Stare miasto powstało najdawniej — te wiekowe kamieniczki, te ciasne, zapluskwione mieszkania, wąskie, kręte schody liczą sobie często więcej niż 150 lat. Ale kamienice starego miasta nie mówią jeszcze nic, jeśli nie uwzględnimy, że mieszczą się w nich urzędy, szkoły, a przede wszystkim sklepy i sklepiki.

Tu jest magnes przyciągający wszystkich, tu rozwija się bowiem i koncentruje życie gospodarcze całego miasta. Dzielnica zamieszkała przez rzemieślników, kupców i kupczyków od wielu a urzędników od dwu pokoleń. Mieszkają tu od urodzenia w ciasnocie swych mieszkań, zapamiętanych meblami jak w magazynach sklepowych o atmosferze ubiegłej epoki tak, że tworzą swoiste getto społeczno-towarzystwe. Ich awans społeczny to wejście do inteligencji. Drzwiami do niej otwiera zwykle matura czyli świadectwo dojrzałości. Połowa chełmskich urzędników to właśnie tak powstała świeża inteligencja. Mieszkają obok, tworzą jedną grupę pozaburzącyjnej inteligencji.

Ich awans społeczny idzie przez uniwersytet, przez dyplom magisterium czy doktoratu, który osiągnie młodzież, szturmująca uniwersytety Lublina. Ale ta młodzież nosi na sobie piętno drobniomieszczańskiej martwoty, która uzewnętrznia się w negatywnym lub biernym stosunku do nowej rzeczywistości. Ten stosunek wyrósł stąd, że zamknięto im drogę do innego w ich pojęciu awansu.

Dziadkowie, ojcowie i synowie pracowali na to, by dorobić się wielkich domów towarowych, prywatnych koncesji. A tymczasem wyrosły obok nich groźne w swym rozwoju spółdzielnie, samopomocy, państwowe domy towarowe i t. p. Dlatego to jeszcze po cichu nazywają Związek Samopomocy Chłopskiej jacejką komunistyczną, a spółdzielnie kołchozami. Z. W. M. i „Wici” to u nich bezbożnictwo i bolszewickie placówki agitacyjne. Judzą, żerując na długowiekowej nieufności



rys. autora

Marian Narcyz Listowski

## Na prowincji — myszy!

(List otwarty do Jana Aleksandra Króla)

mieszkańców Chełma do wszystkiego co ze wschodu. Przecież ta ziemia męcząca przez swoją głęboką wiarę — przypominam przesładowania unitów — do dziś czuje nienawiść do caratu i mimo tak wielkich przemian w Rosji — sam wyraz: „rosyjskie”, budzi tu nieufność.

Ci kupcy woleli pełnić rolę dobrotliwych filantropów, podtrzymujących dobroczynne organizacje kościelne, by potem ksiądz z ambony wyczytywał wobec całej parafii, że pan X, Z, Y wiaścił hurtną czy młyną ofiarował na dom starców dwa tysiące złotych.

Obudna to filantropia — ale świetna reklama.

Odegię od starego miasta o kilometr, połączone z nim długą ulicą Hrubieszowską, działki urzędnicze powstały w okresie międzywojennym. Wille i dworki w sadach i ogródkach. Mieszkańcy tej dzielnicy mają idealne warunki zdrowotne, blisko las, wokół pola. A ludzie — ich stanowiska społeczne i rodowód, przeobrażenia, pojęcia i stosunek do rzeczywistości? Nowe getto.

Na działkach spotkamy jeszcze, gdzieś gdzie starą poszlachecką inteligencję. Wyrwaną z dworu, zdegradowaną, pariasą o wielkopolskich aspiracjach żył w uludzie parafialskich egzystencji. Trzeba było jednak z czegoś żyć. Handel był zbyt hańbiącym zajęciem, rzemiosło również. Ale znalazło się wyjście, zasklasywane szlachę stał się urzędnictwem.

Papierowa formalistka biurokratycznego urzędowania dawała pozycję zastępując dawną wielkość i ważność społeczną. Mieszkali niegdyś na starym mieście. A przecież mieszkając wśród kupców i rzemieślników nie łącząc się z nimi. Synowie kupiecy i rzemieślnicy dążący do wcielenia się w tę klasę przez maturę i stanowiska urzędnicze byli ostro selekcyjonowani. Ci ex-ziemiańscy korzyści z każdej okazji wyodrębnienia się. Skoro nadarzyła się możliwość utworzenia dzielnicy urzędniczej oni byli pierwsi.

Własna willa, często stylizowana na „zachodnio-europejską”, czasem na szlachecki dworek przypominała „dawną, dobre czasy”. Odrębność! Bo przecież powiciskali się tam także i to dość licznie, chorujący na wielkość urzędniczy „stanu niższego”: inteligenci, synowie kupców i rzemieślników, jak i stylizujący się na pana inteligenci — urzędnicy pochodzenia chłopskiego.

Miarę metra bierzemy z pręta wzorcowego przechowywanego w Międzynarodowym Biurze Miar i Wagi w Sèvres pod Paryżem. Jest ona obowiązująca. Tu inteligencja poszlachecka stała się wzorcem, obowiązującym dla reszty inteligencji. W ich domach: myśliwskie strzelby, na krzyż stare pałasze (znikły w czasie wojny), ryngrafy wielkie, obrazy starych dworaków i portrety dziadków, stare aleje lub reprodukcje myśliwskich obrazów Fałata. W bibliotekach domowych powieści: M. Rodziewicz, H. Sienkiewicza, Weyssenhoffa, Kraszewskiego.

Do „saloniku” wpuszczani byli tylko „swoi” ludzie „dobrze wychowani”, lokujący tu jałowość myśli i bezproduktywność zajęcia. Naśladownictwo wzorca, równy poziom umysłowy, czas, sąsiedztwo, czasem miłość, zbliżyli w końcu do siebie oba inteligencje getta

i zespolili. Pozostała jedna cecha wspólna: odrębność. Jako ludzie „dobrze wychowani”, ludzie z maturą, ludzie „na stanowiskach”, stronią od reszty mieszkańców.

To stronienie opiera się nie na unikaniu stosunków z warstwami niższymi kulturalnie (a przy tym, jak to było przed wojną materialnie) w ogóle, bo to przecież niemożliwe, ale na stworzeniu dystansu między sobą a niższymi. Żeby ci niżsi swoją niższość konieczną odczuli, żeby ich zdaniem można było ignorować, jako nie mające żadnej wartości.

A jeśli już przyjmowali i przyjmują do siebie kogoś z warstw niższych, bo dorównał im poziomem umysłowym to za cenę jego zerwania ze środowiskiem rodzinnym.

Przyznanie się maturzysty do tego, że jego ojciec jest chłopem lub szwecem uważane jest i dziś jeszcze za wysoką nietakt, jakoś to go w oczach otoczenia dyskwalifikuje.

W. Kętrzyński w „Tygodniku Powszechnym” z 1. 7. 1945 r. w artykule p. t. „W inteligencji polskiej” najlepiej wyraził ideologię inteligentnego getta. Cytuję: „Nie wolno... kosztem wartości inteligencji powiększać jej ilości”. A wartość tej poszlacheckiej i odwołanej na jej wzorcu pozaburzącyjnej inteligencji w świetle tworzącej się rzeczywistości jest naprawdę i znikoma i bardzo mizerna. Wie ona o tym dobrze, ale przyznać się nie chce. Jedyne wyjątek stanowi część nauczycielstwa, ale o tym potem.

#### RODOWÓD WARSTW ROBOTNICZYCH

Chełmska stacja kolejowa przez swoją postać ściągnęła do miasta dwa elementy. Pierwszy, kjerowniczy, wywodzący się z Warszawy, Brześcia i Lublina, oraz drugi wchodzący w „liniowe” funkcje kolejarskie — element z przedmieścia. Koło stacji zbudowano kilka kamieniczek dla urzędników, inżynierów, techników i majstrów przybyłych do Chełma. Wokół nich i na całej długości drogi łączącej miasto ze stacją rozstadyli się domki tutejszych kolejarzy. Tak powstała nowa ulica Kolejowa i cała kolejowa dzielnica. Z biegiem lat zamiejscowi częściowo powrócili do swych miast, częściowo osiedlili się już na stałe w Chełmie.

Sfera kolejarska, jak wspominałem, pochodzi z ludności przedmieścia. (W małych miastach przedmieście nie różni się od wsi). Ma ona bardzo niewiele cech wspólnych ze starym miastem i przez długie lata żyje swym odrębnym trybem. Nowe prądy społeczne tu właśnie, prawdopodobnie z przybyłymi przenikające do Chełma znajdują zwolenników i sympatyków.

Tu znaleźć można starych działaczy socjalistów, którzy w 1905 roku wylegli na ulice miasta, by zmanifestować solidarność z rewolucją — bojówkarzy, którzy rok rocznie w dniu 1 maja wychodzili z czerwonymi kokardkami i okrzykami; na ulice miasta, sabotażystów okresu okupacji którzy dawali znać partyzantom o terminach i rodzaju przechodzących pociągów. Tu toczyła się cicha „walka o szynę”. Oni dziś występują najtłumniej pod sztandarami PPS-u. Starzy i nowi socjaliści.

Do stacji przylegają działki kolejowe oddziel-

one wzgórzem od urzędniczych. Nie bez znaczenia jest, że te małe domki w ogródkach działek kolejowych inny mają wygląd niż domki urzędnicze.

Trzecia część dzielnicy kolejowej, dyrekcja, którą stanowi szereg murowanych bloków i wili biegnie jak gdyby ku starymu miastu, lecz zatrzymuje się w połowie góry, która ją od starego miasta dzieli. Powstała w latach trzydziestych naszego stulecia i jej istnienie wiąże się z niezrealizowanym pomysłem przeniesienia tu Radomskiej Dyrekcji Okręgowej Kolei Polskich. Dziś dyrekcja zamieszkała jest przez mieszkańców zburzonej bombami (1939) ulicy Kolejowej i kolejarzy z innych miejscowości, którzy znaleźli tu po wojnie zajęcia.

Ludzie tej dzielnicy nie byli przyjmowani w kręgach inteligentno-urzędniczych, stworzyli własną dzielnicę o widocznym wyrazie ideologicznym i przyjęli własną postawę.

Moji uczniowie (szkoła powszechna dla dorosłych) są przeważnie z tej dzielnicy, często kolejarze. Nie wstydzą się przyznać do swego pochodzenia i zawodu. Ale uczennica liceum, której wyższość kulturalna inteligencji zaimponowała, pytana o zawód ojca odpowiada: urzędnik. Przyciśnięta pytaniem gdzie jej ojciec pracuje, mówi wymijająco: na kolei. Zapytana o stanowisko, o pełniącej funkcję mleczcy, czerwona jak mak, odpowiada cicho: woźny. Więc nie urzędnik, ale po prostu kolejarz.

Dlaczego wstydzą się zawodu ojca? Aspiracje wejścia do inteligencji każą jej zataić prawdę. Ona już doszła do własnej koncepcji, że przez grógi do inteligencji można wejść za cenę zerwania ze swym środowiskiem rodzinnym. I gdy już wejdzie do niej, zamknie za sobą drzwi od getta, tak samo jak zamknął je pewien urzędnik pracujący w starostwie, który wstydzą się wyjść ze swą matką na główną ulicę, bo ona nosi strój wiejski.

Wiem jednak, że moi uczniowie skończą i gimnazjum i liceum, a nie będą wstydzili się swego pochodzenia, ani zawodu swych ojców. Po pierwsze: sami ten zawód spełniają, powtóre: wiedzą już o wartości każdego zawodu — wartości dobrze spełnianych obo-



Stara brama miejska  
Lincryt Zenona Waśniewskiego

wiązków. Dziś obowiązkiem każdego nauczyciela jest uświadomić to swoim uczniom. Nauczycielstwo chełmskie — w każdym razie jego większość — pracuje nad tym. W ten sposób rozbija garnek, w którym legną się prowincjonalne myszy, chorujące na manję wielkości, wzorujące się na niezdolnej już do postępu inteligencji poszlacheckiej.

Piliłchonki to dzielnica przedmiejska. Przebiegam przedmiejskie niegdyś ulice: Hrubieszowska i Lwowska. Ale o ile tamte rosły powoli i wchodziły stopniowo w skład miasta, o tyle rozwój tej dzielnicy ma inny, odrębny charakter. Rozrosła się ona wtedy gdy Chełm rozbudowywał się. Powstała dyrekcja, powstały działki, w obrębie starego miasta, nowe gmachy. Ktoś musiał to budować. Ludność pobliskich wsi osiadła tu na przedłużeniu ulicy Lubelskiej, skłeciła nowe, małe chałupki o typie wiejskim, nowe krótkie, zamknięte uliczki.

Zakładali rodziny, warsztaty, kuźnie, ale wszystko to trwało bardzo krótko, kilka zaledwie lat. Zastój w rozbudowie był ich klęską. Budowali nie dla siebie, sami zostali i biedni i clemni. Świadomość solidarności klasowej tak wyraźna w ruchu socjalistycznym kolejarzy, tu kształtowała się na doświadczeniach rodzinnych. W poszukiwaniu zarobków, bo powrót do wsi został zamknięty, wchodzili do miasta tworząc najłuchsze warsztaty rzemieślnicze. W ten sposób ta garstka połączyła się ze starym, miejskim proletariatem. Reszta biedowała, oni reprezentowali sezonowych robotników i sezonowych bezrobotnych. Dzieci ich poprzestawały na szkole powszechnej. Do gimnazjum ze względów materialnych wstęp był niezwykle ciężki. Ta warstwa „nie wychowanych” najgorzej wychowana miała drogę do awansu zamkniętą.

Od miasta oddziela ich rzeka i tor kolejowy. Jest most, ale przed mostem szlaban na przejeździe. Ten szlaban stał się symbolem. Był opuszczony. Dopiero lata powojenne podniosły go. Część mieszkańców przeniosła się do innych dzielnic miasta, część wyjechała na Ziemię Odzyskane w poszukiwaniu lepszych warunków.



Typowy „dworek” na działkach urzędniczych

rys. autora.

**A**LEKSANDER Świętochowski w swej „Historii Chłopów” w tomie II na str. 466 napisał bardzo charakterystyczne zdanie na temat „Zarania” i „Wyzwolenia”: „Z tej czystej grupy ideowej wyłoniło się niechlubnej pamięci przedsiębiorstwo pod nazwą: „Wyzwolenie”.

Wypowiedź A. Świętochowskiego, uczestnika ruchu „zaraniarskiego” i współtwórcy pierwszych szkół rolniczych zasługuje na specjalną uwagę, ponieważ pozwala nam oświetlić mechanizm przemian w ruchach społecznych.

Są działacze, którzy wraz z rozwojem społecznym środowiska sami ulegają przeobrażeniom. Do takich należał Maksymilian Malinowski, najpierw redaktor „Zorzy”, następnie założyciel i redaktor „Zarania”, wreszcie twórca PSL-u „Wyzwolenie” i redaktor organu tej partii. Inni zaś działacze zdolni są do przebycia tylko jednego etapu rozwojowego, a w następnym okresie stają się zaporą na drodze, po której sami przez pewien czas szli. Do takich typów należał Konrad Pruszyński, założyciel i redaktor „Gazety Świątecznej”. Podobnym do niego pod tym względem był A. Świętochowski, idealizujący pracę „Zarania”, a równocześnie potępiający gwałtownie „niechlubną” pamięć „Wyzwolenia”.

A przecież „Gazeta Świąteczna”, „Zaranie” i „Wyzwolenie” reprezentują jeden ciąg rozwojowy oświaty na wsi i społecznego dojrzenia warstwy chłopskiej. „Gazeta Świąteczna” uczyła czytać, wiązała warstwę chłopską z historią narodu, propagowała racjonalną pracę w rolnictwie. Równocześnie jednak pismo to starało się o podtrzymanie autorytetu ziemiaństwa i patronatu proboszczów. „Gazeta Świąteczna” była wyrazem rozwoju po-paniszczynianej wsi i w tym okresie spełniła swoją pionierską rolę. Z „Gazety Świątecznej” wiąże się działalność oświatowa ostatniej ćwierci XIX w. Tenże sam K. Pruszyński opracował i wydał pierwszy powszechny elementarz do nauki czytania i pisania w r. 1875 i rozprowadził go w ilości 525 tysięcy do 1896 r. Równoległą do pracy Pruszyńskiego - Promyka była działalność Mieczysława Brzezińskiego, redaktora „Zorzy” i autora popularnych broszur przyrodniczych, kolportowanych wśród chłopów. Pruszyński i Brzeziński to postacie związane z postępem wsi w końcu XIX wieku. Jest to pierwszy etap rozwojowy w historii chłopów, o ile historię uznamy za dzieje rozwoju cywilizacji, w której dane środowisko świadomie wiąże się z powszechnym dorobkiem narodu i ludzkości przy pomocy środków pośredniej łączności, zwanych popularnie oświatą.

„Zaranie” stanowiło na terenie Kongresówki następny etap rozwoju społecznego wsi. Rozwój ten był oczywiście uwarunkowany osiągnięciami okresu poprzedniego reprezentowanego przez „Gazetę Świąteczną” i „Zorzę”, nie mogłyby jednak mieć miejsca bez oddziaływania ogólnych warunków historycznych i wpływu innych warstw społecznych. Mowa tu o społecznej krystalizacji klasy robotniczej w ówczesnym Królestwie Kongresowym oraz ogólnych ruchach rewolucyjnych w Rosji, spowodowanych niekorzystną dla tego państwa wojną japońską.

„Zaranie” powstało w 1907 r. jako ostateczny wyraz ruchu społecznego, który został zapoczątkowany w r. 1904 i wyrażał się w próbach sformułowania programów organizacji politycznej i akcji publicystycznej i oświatowej. O zjawiskach poprzedzających „Zaranie” od 1904 r. do 1905 r. pisze Łukasz Kumor w artykule „Z dziejów ruchu ludowego”, zamieszczonym w pierwszym numerze „Myśli chłopskiej” z maja 1947 r.

„Zaranie” wyszło pod hasłem „Samy sobie”. Hasło to głosiło niezależność chłopów od szlachty i kleru. Było to na owe czasy hasło wywrotowe. Zawierało ono elementy świadomości klasowej chłopów. Przekreślało zasady dotychczasowego układu stanowego i patronactwa społecznego wyższych warstw. Godziło w autorytet proboszczów.

Ze stanowiska potrzeb ekonomicznych ruch „zaraniarski” należy zaliczyć do kierunku agrarystycznego. Źródło zaś agraryzmu należy widzieć w układzie stosunków, jakie zaistniały w rolnictwie po wyzwoleniu i uwłaszczeniu chłopów. „Zaraniarzom” chodziło o to, aby chłopom wywalczyć miejsce w ówczesnym klasowym układzie społeczno-gospodarczym. Wskutek



Zaraniarze (r. 1911)

Stefan Ignar

## Ruch „zaraniarski”

zaś różnicowania się ustroju rolnego pod wpływem oddziaływania kapitalizmu wyłoniła się kategoria zamożniejszych chłopów, którzy mieli więcej niż inni szans do wmontowania swej gospodarki w ramy ustroju. Prowadziła do tego racjonalna uprawa roli i spółdzielczość wymiennie-kredytowa. Aby pociągnąć za sobą ogół chłopów nie mających szans awansu gospodarczego w ustroju kapitalistycznym, wytworzyli oni opinię solidarności klasowej, głoszącą jedność interesów i idei całej warstwy chłopskiej.

Uwzględniając powyższe uwagi ekonomiczne — należy przyjąć, że ruch „zaraniarski” miał charakter emancypacyjny. Przeciwstawienie się starym autorytetom dworu i parafii — stanowiło rewolucję w dotychczasowych stanowych stosunkach wiejskich. Był to zasadniczy zwrot w historii chłopów. „Zaraniarze” stali się pionierami ruchu, wprowadzającego wieś jako element czynny do społeczności narodowej. Praca Promyka i innych oświatowców poprzedniego okresu uczyła chłopów historii narodu, w skład którego chłopi nie wchodziłi, podczas gdy Malinowski i Nocznicki walczyli o miejsce dla chłopów w społeczności narodowej.

Biskupi i proboszczowie broniąc starego układu stanowego wystąpili ze zdecydowanym potępieniem ruchu „zaraniarskiego”. Biskup kujawsko-kaliski St. Zdzitowiecki wydał w r. 1911 list pasterski nakazujący wykluczenie „Zaraniarzy” z gmin wyznaniowych. To samo zrobił biskup kielecki — Łosiński. Do walki z „Zaraniarzami” został skierowany specjalnie wzniesiony fanatyzm ciemnoty wiejskiej. Księża nie cofali się także nieraz przed denuncjacją polityczną „Zaraniarzy” wobec władz zabórczych.

Ł. Kumor w swej cennej, a niestety dotychczas niewydanej pracy pt. „Z dziejów ruchu ludowego w Królestwie” przytacza następujący obrazek ze Sterdyni opisany w „Zaraniu” nr 5 z dn. 3.II 1910 r. przez Wojciecha Z.

„Jeden z czytelników „Zarania” jechał z pewną kobietą. W rozmowie powiedział jej, jaką gazetę czyta. Kiedy dojechali do wsi kobieta zeskoczyła z wozu, krzykiem zaczęła zwolować ludzi, a gdy się zbiegli powiedziała im, że ten oto czyta „Zaranie”. Owieczki ks. Wojciechowskiego rzuciły się na biedaka groźnie i tak mu zagroziły zabiciem, że czytelnik nasz widział się zmuszony ratować”. Ukłękł wtedy przed rozbawionymi „owieczkami” i przysiągł, że „Zarania” czytać nie będzie, byle mu tyl-

ko darowali życie. Baba owa pobiegła do księdza wikarego z raportem, a „dobry” pasterz w najbliższą niedzielę pochwalił swe „owieczki”, że „szlachetnym swym czynem” uratowały „jednego grzesznika”.

Ciężkie więc chwile przeżywali „Zaraniarze” walcząc o emancypację społeczną. Opierając się skutecznie temu ciężkiemu atakowi kleru, który sprzymierzony z ziemiaństwem chciał za wszelką cenę utrzymać stosunki społeczne na wsi w anachronicznym stanie formacji przedkapitalistycznej, „Zaraniarze” zrobili pierwszy wyłom w murze izolacji, oddzielającej chłopów od narodu.

Nie należy jednak tych osiągnięć utożsamiać z walką przeciwko ustrojowi kapitalistycznemu. Była to raczej walka o miejsce w ustroju kapitalistycznym. Mimo to w zapóźnionym rozwoju Polski „Zaranie” stanowiło niewątpliwie ruch postępowy.

Przejawy walki z ustrojem kapitalistycznym na gruncie ruchu ludowego zauważamy dopiero w działalności „Wyzwolenia” w latach 1918—1919 — w okresie tworzenia się państwowości polskiej, co uwiecznione zostało w manifestie Rządu Ludowego w Lublinie. Był to jednak okres krótki. Wojna w 1920 r. zadecydowała o przegranej chłopskiego ruchu rewolucyjnego. Wyrazicielem jego, Stanisław Thugutt, zająwszy wrogiemu stanowisku wobec Związku Radzieckiego, nie zdołał się oprzeć kierunkowi ugody z ustrojem kapitalistycznym.

Jedną z głównych cech ruchu „zaraniarskiego” była jego gospodarskość. Ideologia polegająca na racjonalizacji rolnictwa i wprowadzeniu doń kalkulacji kapitalistycznej była niewątpliwie ideologią postępową. Jeśli jednak uwzględnimy niezdrową strukturę rolną, która już wtedy istniała na terenie b. Królestwa Kongresowego, to musimy dojść do wniosku, że już w działalności „Zaraniarzy” tkwiły elementy, które w następnych okresach spowodowały zapóźnienie i izolację wsi od ruchów rewolucyjnych walczących z ustrojem kapitalistycznym.

Atmosferę społeczną i pozycję gospodarczą „Zaraniarzy” odzwierciedla między innymi urywek ze wspomnień Tomasza Nocznickiego, opisujący wycieczkę\*.

„A latem w r. 1911 „Zaranie” zorganizowało wielką wycieczkę krajoznawczą. Wycieczka ta była firmowana przez Kółka Staszicowskie, zebrała się nas spora gromada, zwiedziliśmy Łowickie, byliśmy na Kujawach, gdzie miejscami Zaraniarze i Kółkowicze przyjmowali nas gościnnie, przez trzy dni swoim kosztem, chociaż było nas około 200 osób. I było nam dobrze, wśród braci, i było co jeść. I nie wypito w tej gościnie ani kropli wódki, ani szklanki piwa. Jedzenia było w bród, po jedzeniu herbata, a potem rady i narady w szafasie z zieloni, pod niebem tylko, jakby prestate prasłowiańskie czasy i słowiańska gościnność zostały wskrzeszone. A potem statkiem pojechaliśmy dalej i znowu koleją do Czerniejowic, gdzie obywatel I. Bartczak czekał na nas ze 150 pięknymi brykami, bo Kujawy były przed wojną bogate, ziemia tam dobra, gospodarka chłopska niezła. To też dostatek był duży i widoczny. A przy tym moda. Otóż modą było na Kujawach nawet przy jednokonnym gospodarstwie mieć brykę resorową i ładne szory na koniach.

To też gdy 150 bryk stanęło przed małą stacją pewnej letniej niedzieli, to ludność miejscowa z zadziwieniem czekała i patrzyła, kto też tymi i tyloma brykami pojedzie. Nadszedł pociąg i z wagonów wygładło około 200 osób, z radością wita nas ob. Bartczak, siada z nami na brykę, gromada naszych dotychczasowych gospodarzy spod Dobrzyńa na czele i wielkim korowodem, jakby letnim chłopskim wyrajem do Kruszynka”.

Gdzieżby tam w takim godnym towarzystwie, w którym jednokonny gospodarz stanowił wyjątek, zmieścił się dajmy na to fornał albo też i gospodarski parobek.

Sprawy zdegradowanych gospodarzy chłopów, którzy szli do łódzkiej fabryki lub do Prus na sezonowy zarobek, nie interesowały postępowych „Zaraniarzy”. Do szkół rolniczych zakładanych przez Działalność w Kruszynku, Sokołówku, Pszczelnie, Bratnem i Gokoczyźnie przy pomocy A. Świętochowskiego, A. Bańkowskiej, M. Malinowskiego i innych szli synowie i córki zamożnych gospodarzy. J. Niecko, który tak ostro zaprotestował w „Chłopach i Państwie” przeciwko twierdzeniu, że ruch „zaraniarski” opierał się na bogatszym elemencie chłopskim, stwierdza równocześnie, że nie miał możliwości jako wyrobnik skorzystać ze szkoły rolniczej. „Zaraniarze” mieli poczucie swej pozycji społeczno-gospodarczej. Świadczy o tym artykuł w „Zaraniu” nr 50 z dnia 12. XII. 1912 r. poświęcony sprawie budowy domu ludowego w Warszawie. W artykule tym między innymi czytamy:

„Dziś można już bez omylenia się powiedzieć, że przedpłatnikiem „Zarania” musi być tylko człowiek społecznie w człowieczeństwie swym i majątkowo nie zależnym... są między nami ludzie we wsi najświetniejsi, najwleceń postępowi, często zamożni... Rozkupienie przeto przez nas tysiąca udziałów sturublowych — nie stanowi niemożliwość — przeciwnie, stanowczo twierdzę, iż tysiąc takich udziałowców pomiędzy kilkoma tysiącami „Zaraniarzy” z łatwością się znajdzie”.

Ruch „zaraniarski” powiązany z rozwojem szkół rolniczych, Kółek Rolniczych im. Staszica i Spółdzielni (zwłaszcza mleczarni i kas pożyczkowych), był ruchem górnej warstwy chłopów, nie był to jeszcze powszechny ruch ludowy. Idea izolacji chłopów od zagadnień przemysłowych i robotniczych, która tak silnie występowała w „Zorzy” i „Gazecie Świątecznej”, utrzymała się w „Zaraniu”. Malinowski prowadząc wycieczkę chłopską do Czech, nie zrozumiał istoty rozwoju rolnictwa czeskiego. Zdawało mu się, że tę istotę stanowi racjonalizacja i spółdzielczość podczas gdy racjonalizacja pracy w gospodarstwie rolnym i rozwój powszechny spółdzielczości możliwy był dopiero pod wpływem rozwoju przemysłu i odludnienia wsi. „Zaraniarze”, jak zresztą i późniejsze organizacje partyjne, nie wyłączając radykalnego „Wyzwolenia”, a nawet nowoczesnej organizacji młodzieży „Wici”, pod wpływem wlokącej się poprzez dziesiątki lat ziej tradycji gospodarskiej, nie mogły — poza wyjątkami — trafić do fornału, a także do 1935 r. nie potrafiły wciągnąć służby chłopskiej do swych szeregów. Jeszcze i dziś są na Kujawach i gdzie indziej wsi, w których zamożni gospodarze gromadzą się w kółkach S.L., Z.S.Ch i P.P.R-u, a ich parobcy stoją poza nawiasem życia politycznego. Jest to oczywiście ostatni etap elitaryzmu i izolacji. Nie przetrzyma on zmienionych warunków ustrojowych w dzisiejszej Polsce.

\* Fragment ten pochodzi z przytoczonej już pracy Łukasza Kumora.

Franco Fortini

## Życiorys włoskiego intelektualisty

Urodziłem się w 1917 r. Ojciec mój, adwokat, pochodzi z żydowskiej rodziny z Livorno, przybyłej do Włoch w 17-tym wieku; rodzina matki — to drobni właściciele ziemscy z Toskanii — przodkowie jej byli chłopami.

Ojciec mój jedyny z całej rodziny studiował na uniwersytecie; przeszedł z handlu i stanu urzędniczego do wolnego zawodu; walczył w młodym wieku w partii republikańskiej i był gorącym zwolennikiem Mazziniego. Zgłosił się jako ochotnik na wojnę z Austrią o Triest, o „biedną“ Belgię, przeciwko „imperializmowi pruskiemu“.

Od najwcześniejszego dzieciństwa nauczyłem się cenić „umysł“, „sztukę“ i „geniusz“. Książek mieliśmy bardzo mało; żyło się skromnie, z dnia na dzień, z tego — co zarabiał w swym zawodzie mój ojciec. On to mówił mi często o Danthem Saint - Just (\*), nauczył mnie Marsylianki. Dziś jeszcze od czuwam dreszcz, słuchając jej.

W naszym mieście walka między „faszystami“ a „czerwonymi“ była wyjątkowo zafarta. Ojciec brał udział w procesach politycznych a ja byłem przeciwko faszyzmowi. Kiedy ojca aresztowano miałem 8 lat. Pewnego wieczoru wrócił do domu z obandażowaną głową i zranioną szyją. W 1925 roku musiał uciekać, gdyż poszukiwali go faszyści.

W okresie szkolnym wszystko jakby się uspokoiło. Ojciec mój żył na uboczu, a wielu jego przyjaciół zostało faszystami. W szkole pod krzyżykiem, obok portretu króla wisiał portret Jego Ekscelencji Benito Mussoliniego, który przeszywał uczniów swymi bezmyślnymi oczami.

W domu życie było ciężkie; chodziliśmy w pelaninnych ubraniach i zajmowaliśmy małe mieszkanie, gdzie poza rodzicami nie widywałem nikogo. Nabożeństwo lub biulet na koncert były jedyną moją rozrywką. Od tego czasu świat w mych oczach tylko wtedy ma wartość, gdy może stanowić temat poetycki lub malarski. Przejście estetyczne było ucieczką przed rzeczywistością. Gdy miałem 15 lat, przyjaciółmi moimi byli ubodzy mieszczanie na granicy proletariatu; mieszkali w smutnych budynkach na przedmieściu. Florencia stanowiła dla nas miasto bajkowe, pełne niewysłowionego czaru; ale gdy mieliśmy 15 lat marzyliśmy o Paryżu i elektryzowały nas odkryte w miejskiej bibliotece publicznej nazwiska: — Modigliani, Rimbaud... Życie wokół nas uspokoiło się. Początkowo prawie wszyscy, a następnie wszyscy moi szkolni koledzy zapisali się do młodzieżowej organizacji faszystowskiej — Avanguardisti. Przez pewien czas ja jeden nie należałem do niej. Pewnego dnia profesor oznajmił mi, że pragnie porozmawiać z mým ojcem. Co do mnie kazał mi również przyjść w sobotę po południu i w niedzielę rano na zebrania. Zresztą i sieroły po adwokacie, zabitym przez faszyzistów, chodzili tam również. Konieczność pójścia była dla mnie torturą, lecz z tego jedynie powodu, że traciłem czas przeznaczony na naukę rysunków i literatury. Ale ojciec nie chciał mieć przykrości i zapowiedział, abym się nie spóźniał na te zebrania. Faszyzm? Nikt jeszcze nie wiedział, co to znaczy. Retoryczna nicokreśloność, mieszanina orłów rzymskich, imperialnych pieśni, przemówień wspominających rocznicę narodowe — i ostatnie wydanie podręczników szkolnych, w których mówi się o chaosie powojennym i o Duce — restauratorze włoskiej wolności. W 1932 r. ojciec pojechał do Rzymu, gdzie zwiędził Wystawę Rewolucji Faszystowskiej. Pamiętam, jak po powrocie powiedział: „A jednak trzeba przynajmniej... olbrzymie osiągnięcia, odwodnienie, szkoły...“ Kilkakrotnie zachęcano go, aby zapisał się do partii („Kto jest Włochem, ten jest faszystą“), lecz stale odmawiał. Nie mogłem dokładnie zrozumieć dlaczego — napewno wskutek czegoś w rodzaju tęsknoty za swą młodością. Parlamentaryzm, demokracja — ponure słowa, wystawione na posmiewisko. Lecz nic oczywiście zamian za to.

Czasami ojciec opowiadał o swej młodości, gdy była jeszcze „wolność“. Ale to były blade obrazy, które nas nie interesowały. Jeśli prawie wszyscy moi przyjaciele mówili z pogardą o faszyzmie i wyśmiewali mowy Mussoliniego, czynili to z dumy intelektualnej i poczucia swej wyższości. Lecz nie posuwali się dalej. Większość moich kolegów stawiała sobie za najwyższy ideał „inteligencję“ tzn. pewną bystrość psychologiczną, pewne przyzwyczajenie do introspekcji. Ci, którzy nie dają do tej „inteligencji“ nie zasługują na uwagę, są nieobecni.

W roku 1935 Uniwersytecka Grupa Faszystowska wysłała mnie, mimo, iż byłem jeszcze w liceum, do Rzymu na „Lektoriat Kultury i Sztuki“ — rodzaj corocznego narodowego konkursu między-universyteckiego. Wróciłem z kielkującym entuzjazmem dla wszystkiego, co ujęło mnie swą potęgą i uroczystością. Wybuchła wojna z Abisynią i przyszło skryte pragnienie zobaczenia co zajdzie, gdy Liga Narodów wystąpi. Lecz śmieliśmy się tylko z posiedzeń w Genewie, opisywanych przez gazety i z sankcji oraz z powolności i śmiesznej rozważli demokracji. Kłóczyłem właśnie 18 lat, wstąpiłem na uniwersytet i uczęszczałem na kurs w Insty-

tucie Sztuk Pięknych, wszedłem w inne środowisko, przeżyłem skomplikowany kryzys religijny, zapalałem — czy też wydawało mi się, że zapalałem — szaloną i gwałtowną miłością do moich młodych towarzyszek. Gdy Włosi wkroczyli do Addis-Abeby i ogłoszono Imperium, po raz pierwszy odczułem prawdziwą przynależność kolektywną w wydarzeniach. Potężne zgromadzenia narodowe dla wysłuchania głosu Duce-Triumfatora, zbiórka złotych obrączek ślubnych przez kobiety włoskie 18.XI. 1935 r.; pierwsze oznaki stanu wojennego, który miał trwać tyle lat, olbrzymie tytuły w wieczorowych gazetach: Adonah Macalle, l'Amha Aradam, wszystko to silnie wstrząsnęło każdym z nas. Jednych w sensie czysto faszystowskim i patriotycznym, drugich jedynie pod wpływem fascynującej awantury, kolonialnej wojny.

Obracałem się w różnych środowiskach i wydawało mi się, że jestem nastrojony antymieszkańsko, ponieważ mogłem się uważać za wyzwolonego z moralności rodzinnej mimo, że żyłem właściwie z pracy mego ojca. Kilka lekcji, których udzielałem, starczyło na książki i papierosy. Był to okres bezradnych kryzysów, gwałtownych rozdźwięków między nadmierną wrażliwością i umysłowymi uniesieniami. Wybuchła niezrozumiała dla nas wojna w Hiszpanii; instynktowna sympatia była po stronie „czerwonych“, lecz faszystowska propaganda, opisy okrucieństw republikanów robiły swoje. To było dla większości spośród nas zupełnie chybione doświadczenie.

W pięć dni po rozpoczęciu wojny 1940 r. aresztowano mego ojca, jako „niebezpiecznego Żyda“ i wysłano go, w kajdanach do obozu koncentracyjnego w Marches, skąd udało mu się jednak wydostać po czterech miesiącach. Lęk przed narażeniem się władzom wytorował wokół nas pustkę. Tymczasem mobilizacja postępowała powoli. Ponieważ nie było przybytku ochotników spośród pracowników uniwersyteckich, faszyści wymyślili ponurą komedię: trzeba było prosić o honor walczenia przez partyjne organizacje studenckie. Studiującym nakazano, według stopni uczęszczać na Kursy, aby później mogli przyłączyć się do jednostek walczących.

W czerwcu 1941 r. dostałem rozkaz udania się po instrukcje do Rzymu. Wtedy to straciłem kontakt z środowiskiem antyfaszystowskim w moim mieście. Faszyzm osiągnął swój cel: opróżnił — uniwersytety, które były niebezpieczne i narzucał studentom dyscyplinę wojskową. W koszarach nikt już nie mówił o faszyzmie, stary bożek patriotyczny odzyskiwał młodość. Mówiono już tylko o sztandarze, o pułku, o honorze wojskowym. Mimo nieładu, dyscyplina cofnęła nas do czasu naszych ojców. U wielu z nas nutka patriotyzmu wzięła górę; wojna faszystowska była wojną narodową. Słowo „Ojczyzna“ jeszcze wzruszało.

Dla całej naszej generacji doświadczenie z wojska stało się bardzo ważne; pokazało nam nędzę naszego ludu i kłamliwość potęgi faszystowskiej.

W tym czasie uzyskałem kontakt z antyfaszystami rzymskimi. Przeczytałem „Manifest“, historię socjalizmu włoskiego, biografie Trockiego; prowadziłem długie rozmowy i dyskusje. Ale mój protest był jeszcze idealistyczny. Protest raczej religijny i moralny, jak prawie nas wszystkich. Ale zaczynałem już przeżywać nowe rzeczy; w Rzymie były aresztowania wśród intelektualistów. Najmniejszy cień niepokoju władze wojskowe, przepędzone strachem. A zima mijała i Rosja była wciąż nieugięta. Zaczęto mówić, że wynik wojny jest niepewny. Zostałem mianowany oficerem i odkomenderowany do pułku, który właśnie wyruszał do Rosji. Kwatery znajdowały się między San Remo i Ventimille na Riwierze. Znowu straciłem kontakt z antyfaszystami rzymskimi. W tym czasie nastąpiło lądowanie alianatów w Algierze i zaczęły się bombardowania pobliskiej Genul. Potem przyszła wiadomość o klęsce włoskiej w Rosji.

Dostały się też do San Remo pierwsze sprawozdania o okrucieństwach niemieckich w Polsce i w Rosji.

Wróciłem niedawno (1945) do Mediolanu, gdzie pracowałem w przeglądzie: „Il Politecnico“, redagowanym przez Elio Vittorini. Równocześnie pracowałem w wielu innych dziennikach. Nie biorę już czynnego i bezpośredniego udziału w polityce, opierając się na przekonaniu, że jest koniecznym przede wszystkim starać się dobrze robić to, co się robić umie. Spośród moich dawnych przyjaciół prawie wszyscy walczyli w partii komunistycznej, niektórzy w socjalistycznej, inni w partii czynu. Opublikowałem zbiór wierszy i piszę o poezji, o teatrze i o powieści. Zaślubiłem młodą dziewczynę, którą poznałem w Szwajcarii. Życie codzienne jest ciężkie, trudności gospodarcze wzmagają się, codziennie wzrasta rozpacz spowodowana dwuznaczną sytuacją polityczną i chęć wyjścia z niej, a równocześnie świadomość, że nasze pokolenie nigdy nie będzie mogło wyzwolić się z poczucia zwyciężonego. Często myślę o opuszczeniu Włoch. Ponieważ obecnie nie mam zajęcia, chciałbym i być może będę uczył w szkole średniej, aby napisać dwie czy trzy książki, których plan mam już w głowie.



Bronisław Majczak

## W I E R S Z E \*)

### WE WSI MOJEJ

Zorany już po bombie lej  
zielonym zboża kwitnie lanem,  
stary Bartłomiej kaszle lżej  
i barszcz pojada ze śmietaną...

Na gruzach chaty wyrósł dom,  
radością plonie wzrok nam,  
daleko biegnie droga stąd —  
jaskółek świergot, słońce w oknach.

Ojciec Siwuice gładzi leb,  
babka kartofie śpiewem struże,  
jak nigdy przedtem pachnie chleb —  
aż Wojtuś śmiechem oczy mruży...

Co środę matka czyta list,  
od Walka co się uczy na doktora,  
a wieczorami słychać gwizd  
kolei, co gna przez wieś nowym torem.

Wrzesień 1947.

### OBRAZ

Na płótnie dali szkic zimy —  
chat szarych rzędy a brzegiem  
łańcuszek polnej brzeziny — —  
wieś moja bród pól i śniegu..

Brazowa wieża kościółka  
przeszłością krzywa  
wraz z zepsutego zegara wskazówką  
we mgłę się rozpiywa.

Mała wstążeczka zieleni  
na ścianie nowego z cegieł domu —  
czyli pierwszej we wiosce spółdzielni — —  
a nad dachami kreseczki drutów — sieć  
telefonu..

Dokoła wsi słupy — linia napięcia,  
jak ramka srebrna obrazu, — —  
w środku — — nie pałac, nie rezydencja —  
lecz promieniami dróg z każdą chatą zwią-  
zany budynek gimnazjum.

Grudzień 1947.

## M I E D Z A

Trasa nóg spracowanych,  
miejsce kurci starych i dwojaków...  
Ojczyzna dumki wygranej,  
ogródek głogów i krzaków.  
Estrada cichych ligawek,  
żytnia, robocza piosenka,  
pośuszka dojrzałej trawy,  
speczynku radość wielka.

Linia codziennej troski,  
prząśniczka marzeń dobrych szczerą,  
ziemskiego globu skrawek wstążki, —  
granica — kres — bariera — —  
Echo sąsiedzkich sporów,  
otwarty rozdział książki ziemi —  
drabinka ciszy wieczoru  
i szlaku gwiezdnych płomieni.

Sierpień 1947.

\*) Wiersze zamieszczone wyżej pisał samouk chłopski, działacz społeczny. Bezpretensjonalna prostota jest świadoma i zamierzona przez autora, który chciałby być czytany przez chłopów i robotników. Bronisław Majczak (ur. w 1914) pisze w swoim życiorysie:

„Od 14 roku życia, kiedy inni koledzy moi mogli uczyć się tylko, ja — z powodu niedostatków w rodzinie, musiałem zarabiać już na chleb. Pracowałem gdzie się tylko dało... Zapomocą krótkich, nie męczących, jak najbardziej prostych wierszy osiągnąć pragnę rowe drogi, wyjść na świat z klasą swoją.

Sądzę, że prace takich piszących jak ja (a jest nas wielu) przygotowują również i podłoże dla „parnasu literackiego“.

Autor zdaje sobie zapewne sprawę z tego, że jego „krótkie, nie męczące“ wiersze są jak i utwory poetów „parnaskich“ oparte na jakiejś tradycji i konwencji literackiej. W wierszach Majczaka odnajdziemy echa Syrokomli, Konopnickiej, może Staffa. Świeże jest zbagacenie tradycyjnego pejzażu sielankowego — tręścią nowych instytucji społecznych i kultury.



„O czym marzy De Gasperi? — wyrzucić chłopów na bruk i za ocean“.  
Ulotka przeciwbiorczą Frontu Demokracjno-Ludowego we Włoszech.  
(z chłopskiej gazety włoskiej „Nuova Terra“ — Nr 11, 15 kwiecień).

\*) Członek Konwentu, zginął na szubienicy wraz z Robespierrem, był jednym z jego zwolenników (1767—1794).

1. WYPOWIEDZI przedstawicieli myśli postępowej — Bielińskiego, Czernyszewskiego i Dobrolubowa zajmują odrębne miejsce w rozwoju folklorystyki rosyjskiej, który w XIX wieku odbywał się na ogół w ramach zachodnio - europejskiej nauki o sztuce ludowej. Oni to właśnie, nie zajmując się specjalnie folklorem, stworzyli owe żywe zasady, na których z czasem powstała folklorystyka radziecka. Główną cechą tych wypowiedzi było to, że traktowały twórczość ludową jak proces żywy, podkreślając jednocześnie jej pierwiastki demokratyczne.

Za czasów Bielińskiego słowianofile — zwolennicy „oficjalnej narodowości” szukali w poezji ludowej przede wszystkim odgłosów dawnej przeszłości historycznej. Zwalczając ich poglądy, Bieliński pierwszy zwrócił uwagę na to, że poezja ludowa nie jest wartością muzealną, że lud nie tylko ją przechowuje, lecz wciąż tworzy, interpretując dawną tradycyjną treść zgodnie ze swoim doświadczeniem życiowym. Tym samym w folklorze odzwierciedla się życie i pogląd na świat współczesnego chłopca. Na tej podstawie Bieliński zwracał uwagę na realne zainteresowania i dążenia mas ludowych, które znalazły wyraz w folklorze, a szczególnie na przejawy protestu socjalnego i nastrojów rewolucyjnych.

W połowie XIX wieku w liberalnych kręgach zwolenników Zachodu było rozpowszechnione ujemne ustosunkowanie się do poezji ludowej. Powodem tej niechęci był fakt, że słowianofile różni, nawet najbardziej reakcyjnych odcieni, nadużyli w polemikach argumentów czerpanych z folkloru. Odrębne stanowisko w tych dyskusjach zajęli przedstawiciele demokracji rewolucyjnej z Czernyszewskim, Dobrolubowem i Niekrasowem na czele. „Jeżeli jeszcze istnieje na świecie poezja — pisał Dobrolubow — należy szukać jej wśród ludu”. Nie idealizując ogólnikowo folkloru jako całości, Dobrolubow chciał widzieć w twórczości ludowej wyraz świadomości i światopoglądu ludowego.

Gdy Afanasjew wydał swój zbiór baśni ludowych, Dobrolubow wskazał na formalny, „akademicki” stosunek folklorystów do zbieranego przez nich materiału. „Nie wolno poprzestać na tej pracy, — pisał krytyk, — wydając utwory podchwyczone wprost z ust ludu”. Czytając baśni chciał wiedzieć nie tylko, w jakim powiecie została ona zanotowana, lub który skolei wariant znanego tematu stanowi. Ciekawili go przede wszystkim **stosunek ludu do opowiadanych przez niego baśni i legend**. „Dlatego, — dodawał, — wydaje się nam, że każdy zbieracz utworów ludowych osiągnąłby największy pożytek, gdyby nie poprzestał na zwykłym notowaniu tekstu bajki lub pieśni, lecz przekazał **wszystkie okoliczności zewnętrzne i wewnętrzne, psychologiczne, w których udało mu się usłyszeć te pieśń lub bajkę**”.

Przedrewolucyjna historia folklorystyki przemilała te wypowiedzi o **intencjach społecznych i politycznych**. Niemniej stanowią one poniekąd program dalszych badań nad twórczością ludową. Na przykład jeden z mało znanych historyków rosyjskich, Pryżow powziął zamiar napisania historii pańszczyzny oraz prądów wolnościowych w Rosji na podstawie materiału folklorystycznego. Zamiar ten udaremniło zesłanie. Drugi demokratyczny Chudiakow napisał szkic publicystyczny o światopoglądzie ludowym na podstawie folkloru. Najbardziej interesowało go odzwierciedlenie w folklorze protestu socjalnego, pierwiastki satyry klasowej i motywy ruchów wolnościowych. Zebrane przez Chudiakowa baśnie satyryczne o zabarwieniu klasowym zostały zniszczone po aresztowaniu go przez żandarmerie carskich.

Obok teoretyków demokratów wybitną rolę odegrali praktycy folklorystów, zbieracze pieśni i baśni ludowych, którzy pierwsi zwrócili specjalną uwagę na osobę **bajarza i pieśniarza ludowego**. Byli to Paweł Rybnikow (1832—1885) i Aleksander Gilferding (1831—1872). W swoich zbiorach folkloru zastosowali oni po raz pierwszy w folklorystyce europejskiej podział materiału według bajarzy, nie pieśni. Gilferding wykazał, jaki wpływ na poezję epicką miała **przyroda, warunki socjalne i praca chłopów północnych dzielnic Rosji**. W tych dzielnicach bowiem, w b. gubernii Ołonieckiej Rybnikow i Gilferding odkryli największy rezerwat epickiej poezji narodowej. W ten sposób folklorystyka rosyjska wychodząc z założenia metody społeczno-demokratycznej dotarła do **żywego odtwórcy** pieśni historycznych, stworzonych w okresie od X do XVI w. i przechowanych przez całe rodziny bajarzy ludowych.

W 60—70-tych latach powiększa się ilość publikacji folkloru. Zbiory poprzedzają rozprawy, gdzie omawiane są przyrodnicze i ekonomiczne warunki, w których przechowywały się tradycyjne formy poezji ludowej, oraz podawane są coraz bardziej szczegółowe biografie bajarzy.

2.

Pierwszym znanym bajarem klasycznym, odkrytym przez Rybnikowa, był Trofim Riabinin. „Próg chałupy przestąpił średniego wzrostu staruszek, silnie zbudowany, — opowiada Rybnikow o swoim pierwszym spotkaniu z bajarem. — Miał siwą niewielką brodę i złote włosy. Jego srogie spojrzenie, postawa, ułkon, krok, sposób zachowania się i wygląd zdradzały spokojną i opanowaną siłę”. Powaga ta świadczyła o szacunku, którym otoczenie darzyło zdolności odtwórców eposu ludowego. Sztukę swoją Trofim Riabinin przekazał synowi Ivanowi, którego imię zyskało rozgłos w całej Rosji. Występował on w 90-ciu miastach i wyjeżdżał za granicę. W domu pozostawał zwykłym rybakiem znad jeziora Onegi. W czasie repertowania sieci śpiewał i uczył bajania dzieci. Po nim zdolności bajarza odziedziczył jego pasierb Iwan



Drzeworyt P. Pawlinowa  
Bajarka Maria Kriwopolenowa (ur. w r. 1843)  
(W r. 1916 liczyła 73 lata)

Leon Gomolicki

## Folklor jako zagadnienie społeczne

Riabinin - Andriejew, który skolei przekazał je swemu synowi. Obserwacja czterech pokoleń odtwórców eposu ludowego dała badaczom możliwość wnioskowania o stopniowym zanikaniu tej jedynej w swoim rodzaju tradycji.

Zanim Piotr I „przebił przez Bałtyk okno na Zachód”, główną drogą tranzytową łączącą Rosję ze światem była droga przez kraj Ołoniecki i morze Białe. Wówczas tętniło tu życie, przewijały się tłumy, szły karawany kupieckie. Tłumaczy to szybki rozwój kulturalny północnych kresów Rosji Europejskiej, który zatrzymał się raptem w tym czasie, kiedy reszta państwa właśnie weszła w okres reform. Tłumaczy to również fakt że dotarły tu legendy o Kijowie i Nowogrodzie. Do utrwalenia tradycji pieśniarskich przyczynili się rosyjscy meistersingerzy, „skomorochy”, którzy prześladowani przez kościół prawosławny szukali ucieczki w północnych dzielnicach kraju. Ich sztukę bajania naśladowały rodziny chłopskie. Skracając ona czas w długie miesiące północnej zimy i towarzyszyła w pracy. Ekipy rybackie specjalnie angażowały bajarzy, którzy udawali się razem z nimi na półw, dostając większą zapłatę niż reszta rybaków.

Obok rodzin, w których zdolności bajania przechodzą w linii męskiej, w Rosji istnieją rodziny uzdolnionych kobiet - bajarek. Do takich rodzin należy na przykład pochodząca z nad morza Białego rodzina Kriukowów. Z innych pieśniarek warto wymienić Kriwopolenową, która śpiewała pieśni heroiczne prosiąc o jałmużnę. Odkryła ją i przywiozła do Moskwy artystka Ozarowska. Kriwopolenowa miała wówczas ponad 70 lat. Występy jej wkrótce zyskały wielki rozgłos. W drugiej połowie XIX wieku znana była wykonawczyni „bylin”, które sam lud nazywa „starinami”, oraz żałobnych pieśni ślubnych, pogrzebowych i rekrutkich Fedosowa. Była ona również Puskina, śpiewała swoje pieśni Niekrasowowi, który wyszukał je w swoim poemacie „Komu w Rosji dobrze”. W 1896 r. Fedosowa, wówczas 98-letnia staruszka, występowała na targach w Niżnym Nowogrodzie. Wśród publiczności znajdował się Maksym Gorki. Wrażeniem z tego występu Gorki poświadczył dwa artykuły ogłoszone w gazetach. Po trzydziestu latach opisał śpiew Fedosowej w pierwszej części powieści „Życie Klimy Samgina”.

„Już od dawna, — pisał Gorki, — nie miałem tak silnego przeżycia. W czystej sali koncertowej pachnącej smółką świeżego drzewa z początku było nudno”. Występ zapowiadał nauczyciel gimnazjum Ołonieckiego, który „zaznajamiał Rosję z jej niepiśmienną ale prawdziwą poezią”.

„Oryna od czternastego roku życia odtwarzała pieśni żałobne—mówił.—Z jej słów zanotowano przeszło 30.000 wierszy, gdy „Iliada” Homera liczy ich tylko 27.815”.

— Oryna Andriejewna! — krzyczy nauczyciel. Uchylają się drzwi i z podium kłania się publiczności staruszka niskiego wzrostu, krzywa, siwa, w białej chustce perkalowej, czerwonej bluzce i brązowej spódnicy. Na nogach ma ciężkie wysokie buty. Twarz cała w zmarszczkach, smagła... Ale oczy — zdumiewająco! Szare, jasne, żywe — iskrzą się rozumem, uśmiechem i jeszcze czymś, czego nie można spotkać w spojrzeniu przeciętnej osoby człowieka i co nie da się określić słowa-

mi... Wszyscy są wpatrzeni w małą staruszkę, która siedzi zatopiona w fotelu, nachylona w stronę publiczności... piękna i szlachetna, a tym bardziej uszlachetniona natchnieniem, śpiewa modulując głos, gestykulując wyschniętymi, małymi rękoma... Salę wypełniają powiewy starożytności. „Publiczność odpowiada burzą oklasków na cześć półmartywego człowieka, który wskrzesza ostatnimi siłami ducha martwą dawną naszą poezję...”

3.

Gorki tym bardziej był wrażliwy na przejawy twórczości ludowej, że od dzieciństwa przez całą swoją młodość żył wśród żywiołu folklorystycznego. Babka pisarza A. Kaszyrina była odtwórczynią pieśni religijnych i historycznych. Sam Gorki w młodości naśladował jej sztukę. Wśród filisaków nadwołżańskich, robotników i włóczęgów, podczas swoich pieszych wędrówek wzdłuż Ukrainy, wybrzeża morza Czarnego i Kaukazu, stykał się on z żywą pieśnią ludową, nieraz improwizowaną, lub interpretowaną przez prostych ludzi. Gorki wczesnie zaczął notować te pieśni i wyrobił sobie przekonanie o żywotności folkloru, o jego socjalnych funkcjach i znaczeniu rewolucyjnym. Spostrzeżenia te skonkretyzowane w późniejszych pracach Gorkiego stanowią dalszy etap w szeregu wypowiedzi o twórczości ludowej demokratów rewolucjonistów, poczynając od Bielińskiego, Czernyszewskiego, Dobrolubowa.

„Folklor jest duszą ludu” mówił Gorki. Aby zrozumieć duszę ludu, zdaniem Gorkiego, należało pogłębić i prawidłowo uzasadnić nową budowę życia ludowego. Pod tym względem myśl Gorkiego nie różniła się od myśli o folklorze Lenina, który mówił po przejrzeniu kilku zbiorów folklorystycznych:

— „Przerzuciłem pobieżnie te książki i dostrzegam oczywisty brak rąk lub chęci, aby wszystko to połączyć, zrewidować z punktu widzenia społeczno-politycznego. Przecież postępując się tym materiałem można napisać wspaniałą rozprawę o nadziei i oczekiwaniu ludu... Oto co powinno zwrócić uwagę naszych historyków literatury. Jest to istotna twórczość ludowa, tak niezbędna i ważna obecnie dla zbadania psychiki ludu”.

Te wypowiedzi dają początek nowemu okresowi folklorystyki rosyjskiej. Po rewolucji Gorki w szeregu artykułów i przemówień zachęcał pisarzy i naukowców do badania i zrewidowania dorobku twórczości ludowej, oraz do zbierania nowych materiałów folklorystycznych. Do ożywienia zainteresowania folklorem przyczynia się nowe pokolenie specjalistów, wychowane na teoriach lingwisty marksistowskiego, członka Akademii Nauk prof. Mikołaja Marra. Przede wszystkim zostały zmienne same metody zbierania utworów ludowych. Obecnie główną intencją zbieraczy stają się próby **uchwycenia dynamiki folkloru, jego stałej zmienności, uzależnionej od zmian warunków życia społeczno-gospodarczego**. Poza tym w polu widzenia nowych badaczy znajdują się nowe zjawiska rzeczywistości porewolucyjnej.

W w. XIX i początkach XX mimo zainteresowania inteligencji bajarzami, których

odkrywano i pokazywano na estradach miast, jako rzadkość zanikającej sztuki ludowej, sztuka ta była pogardzana i nawet prześladowana przez administrację prowincjonalną i kościół, od czasu do czasu odświeżając tradycje prześladowań skomorochów. Jeszcze w 30 latach XIX wieku za panowania „oświeconego” monarchy Aleksandra I w Niżnym Nowogrodzie został skazany na publiczną chłostę kowal Semen Nieczosa za wykonanie „odrażających” pieśni o wojnie z Napoleonem. W ten sposób wynagradzano knutem żywą reakcję ludu na wydarzenia historyczne. Nawet te utwory ludowe, którym udało się przedostać do repertuaru chórów, organizowanych przez dziedziców z chłopów pańszczyźnianych, lub do splewników, drukowanych specjalnie dla ludu, a nawet do naukowych zbiorów etnograficznych, przechodziły przez cenzurę, która eliminowała pierwiastki społeczne i satyryczne, wszelkie przejawy żywego odruchu i ustosunkowania się do rzeczywistości. Mimo to „od czasów głębokiej starożytności, — jak pisał Gorki, — folklor rosyjski nieodłącznie towarzyszył rozwojowi wypadków historycznych. Tylko **ustna twórczość ludowa** może dać prawdziwe pojęcie o historii ludu pracującego”. W procesie tym wielką rewolucją rosyjską stała się bodźcem wyzwalamym i nadającym właściwy kierunek siłom twórczości ludowej. W 1918 roku Lenin pisał w artykule „Podstawowe zadanie naszych dni” o jej „pięknym rozmachu”, spowodowanym wstrząsem rewolucyjnym.

Opierając się na założeniu żywotności folkloru Gorki wszczął energiczne kroki aby pobudzić lud do twórczości. Wśród gigantycznych swych planów wydawniczych, projektował wielotomową historię rewolucji, którą by napisał sam lud. W tym celu wydał do ogółu odezwę z prośbą notowania **indywidualnego i zbiorowego swolich wspomnień z dni przewrotu i wojny domowej**. Zasada pracy zbiorowej, heroizm połączony z realizmem, jako główne cechy twórczości ludowej były szczególnie bliskie twórcom realizmu socjalistycznego.

4.

W 1931 roku Gorki pisał: „Musimy stanowczo uznać i zapamiętać, że artystyczna twórczość mas, nie znikła, nie została zniszczona przez stulecia katorżnej niewolniczej pracy. Zdolność mas pracujących do obrazowej twórczości słowa powstaje i powinna powstać, ponieważ rewolucja wyzwala człowieka nie tylko pod względem społecznym i materialnym, lecz również i pod względem emocjonalnym i intelektualnym”.

Słowa te sprawdziły się na przykładach bajarzy ludowych, którzy pod wrażeniem wydarzeń historycznych nie zadowolili się odtwarzaniem starych pieśni, odziedziczonych po ojcach i matkach, lecz zaczęli tworzyć nowy epos rewolucyjny. Wspominałem już o rodzinach odtwórców „starin” Riabininów i Kriukowów. Współcześni ich przedstawiciele: kołchoźnik z rodzimej wsi Garnice Kizkiego rejonu, Piotr Riabinin-Andriejew i Marta Kriukowa chłopka z wybrzeża morza Białego, pierwsi zaczęli tworzyć śpiewy o bohaterach rewolucji i jej wodzach, nazywając nowe utwory ustne „nowinami”.

Piotr Riabinin-Andriejew bardziej przejęty tradycjami eposu historycznego, stworzył swoją „nowinę” o Czapaiewie, posługując się szablonami pieśniowymi, które powstały w okresie Rusi Kijowskiej. Nie bardzo to wiązało się z nową treścią. Natomiast Marta Kriukowa znalazła swoistą formę epicko-liryczną, łącząc historię z żywą reakcją uczuciową na wypadki dziejowe. Tak zostały stworzone przez bajarkę „nowiny” o Stalnie, o Leninie, o wyprawie na biegun północny, o bohaterach wojny domowej i budownictwa socjalistycznego, wreszcie sławna w Związku Radzieckim pieśń żałobna o śmierci Lenina.

Radziecka polityka kulturalna popierająca i organizująca twórczość ludową, szczególną uwagę zwraca na przejawy twórczości ustnej. Nie mówię tu o wyprawach badaczy i leżących edycjach folkloru, mam na myśli w danym wypadku te troskliwą opiekę, którą otacza państwo i społeczeństwo współczesnych producentów folkloru. Pisarze radzieccy opiekują się nimi fachowo, dostarczają literatury, wskazówek, organizują wycieczki i towarzyszą im w podróży.

Gdy Marta Kriukowa wyraziła chęć utworzenia „nowiny” o Stalnie, związek zawodowy pisarzy umożliwił jej wycieczkę do Gruzi. Ze skrajnej północy, znad morza Białego, poetkę ludową przeniesiono jak w bajce do kraju dojrzewających pomarańczy, plantacji herbaty, szafirowych górskich rzek i ciepłych powiewów od morza Czarnego. Tu w rodzimym kraju Stalina powstał utwór liryczno-epicki przełomowy w historii żywego folkloru rosyjskiego. Liryczne poematy Kriukowej są jednym z przykładów wpływu przewrotu społecznego na twórczość ludową. Rewolucja Październikowa wyzwalała siły narodu rosyjskiego, odrodziła m.in. i dawne tradycje poezji ustnej, które przetrwały noc pańszczyzny i ucisku ustroju burżuazyjnego. Nowa treść wypełniła dawne jej formy, rozsadzając je i zbliżając do form literackich. Obecnie, kiedy bajarze zaczynają utrwalać swoje „nowiny” na piśmie, a liryczne ich poematy rozpowszechnia w setki tysięcy nakładach prasa drukarska, termin „poezji ustnej” zanika w swoim dawnym znaczeniu jedyne przejawy poezji ludowej. Od roku 1938 najbardziej zdolni spośród bajarzy są członkami rzeczywistymi Związku Literatów Radzieckich. Tym samym twórczość ich została ujęta w ramy ogólnego ruchu literackiego.

# Listy z Zachodu

Józef Czerni

## SZCZECIN

NIEŁATWO jest pisać o życiu Szczecina, gdzie wszystko rozwija się w błyskawicznym i — chciałoby się powiedzieć — amerykańskim tempie. To co jeszcze o- negdaj było nowością, o czym rozpisywano się jeszcze wczoraj — dziś jest już nieaktualne, dalekie, prawie dziecinne. Każdy dzień przynosi zmiany i postęp. Rozrasta się jak na drożdżach port, rozbudowuje się przemysł, rozszerza się sieć komunikacyjna, powiększa się liczba mieszkańców.

Szczecin bez przedmiotu liczy obecnie przeszło 140 tys. ludności. Te tysiące jakoś przecie żyją.

W tej krótkiej korespondencji chciałbym poruszyć sprawy życia kulturalnego naszego miasta. Dużo już na ten temat pisano. Szczecińskie pióra nie próżnują.

### PERSPEKTYWA KULTURALNEJ AKTYWIZACJI

Koniec 47 r. minął pod znakiem fermentu. Zaczęło się oczywiście od prasy. Fr. Gil, objawiający na krótko stanowisko kierownika literackiego Teatru Polskiego, zaatakował swoją korespondencją w „Odrodzeniu” kulturalną i literacką politykę Szczecina. W miejscowym dwutygodniku „Szczecin” (Nr 47-48) zareagował na to żywo T. Karpowicz, występując z wielką mową obrończą pt. „Szczecin literacki pod Gil-otyną”. I tak zakotłowało się na szczecińskim bruku. Od wrześniowych dni III Zjazdu Przemysłowego i chwili ostatecznego przejścia portu z rąk radzieckich — Szczecin po raz pierwszy jakby ożył i „zdy- namizował się” kulturalnie poprzez ostre pióra publicystów. Nawiazano kontakty z pi- sarzami. W tym samym mniej więcej czasie goszczą w mieście Gałczyński i Broniewski. Przybywa także z prelekcją K. Koźniewski. Klub Literacko-Artystyczny „Czytelnika” organ- izuje na dodatek burzliwy wieczór dyskusyjny, który zagał St. Telega referatem pt. „O nowe oblicze kulturalne Szczecina”. Sam charakter dyskusji był jednym z dowo- dów, że na tym odcinku zbyt wiele jest jesz- cze do zrobienia. Wypowiedzi prezydenta miasta inż. P. Zaremby miały wesołą nutę. Rok 1948 ma bowiem przynieść teatrom do- datkę 600 tys. zł a miastu załóżek uniwersy- tetu. Chodzi mianowicie o przeniesienie z Lu- blina uniwersytetu im. Curie-Skłodowskiej. Na razie tylko wydziału medycyny. Oprócz tego budżet miasta uwzględnił pozycję 200 tys. złotych za monografię Szczecina i 420 tys. zł na konkursy literackie. Należy także wymienić pierwszy konkurs literacki Szczeci- na na utwór marynistyczny ogłoszony w styczniu w tygodniku „Szczecin”. Zwycięzcę konkursu czeka nagroda 50 tys. zł, które wy- asygnował również Zarząd Miejski. Nie po- trzeba podkreślać, że te wszystkie fakty o- twierają nowe perspektywy kulturalne dla nadodrzańskiego przyczółka.

### GEOGRAFIA KULTURALNA

Szczecin posiada ogółem około 12 przed- szkoli, 20 szkół podstawowych, 7 typu śred- niego, Akademię Handlową (2 tys. stud.), Wyższą Szkołę Inżynierską, która z czasem rozwinię się w politechnikę oraz Państwową Szkołę Morską, nie mówiąc o licznych szko- łach zawodowych. To jest podstawa, na któ- rej się zwykle bazyje.

Jeśli chodzi o teatry należy wymienić roz- wijający się coraz lepiej Teatr Polski, który posiada teraz już 2 sceny (tzw. Scena duża i Scena mała), następnie Teatr Mały, wreszcie STO (Szczeciński Teatr Oświatowy pod kier. M. Bogusza) oraz niezwykle aktywny Teatr Kukielki „Czarodziej” pod kier. Ireny Lip- niej-Kotlińskiej. Ostatnio zaczął się żywiej ruszać Klub Literacko-Artystyczny, który już zorganizował szereg wieczorów autorskich. Wyszła na projekt zebrania w drodze skła- dek sumy 250 tys. zł na tzw. Społeczną Na- grodę Artystyczną za działalność na terenie literatury, muzyki i sztuk plastycznych. Obok klubu „Czytelnika” powstał także nowy Klub Inteligencji. Jeśli chodzi o prasę miasto posiada już 3 dzienniki oraz pismo literackie „Szczecin”, które z dwutygodnika zmieniło się w styczniu br. na tygodnik, zdradzając poważne tendencje podniesienia poziomu, zubożenia tematyki i rozszerzenia zespołu współpracowników. To jest już wiele jak na początek. To jest jednak bardzo mało jak na apetyt kulturalny 140-tysięcznej rzeszy, ze- branej z całego świata.

### PISARZE SZCZECINA

Zanim jeszcze polski i radziecki bagnet zdołał opanować Szczecin, pióro naszego pi- sarza już karczowało teren Naodrza. W mro- kach okupacji powstawały takie epopeje re- gionu jak „Saga o Jarlu Broniszu” Grabskie- go, „Dzikowy Skarb” Bunscha czy „Bolesław Chrobry” Gołubiewa.

Po wojnie zaś rozwinęła się praca w za- kresie naukowo - publicystycznym. Ukazały się książki St. Hellsztyńskiego, St. Srokow- skiego i szereg wydawnictw Instytutu Zachod- niego. W dziale prozy wyszedł zbiór felieto- nów „Pod znakiem Gryfa” W. Lachnitta oraz w ostatnich dniach „Legendy Pomorskie” T. Karpowicza. W poezji natomiast ziemia szczecińska jest jeszcze niedzobytą. Nie licząc tomiku J. Wierzbickiego z okresu Młodej Pol- ski, (który np. umieszczał Stargard nad mo- rzem), poeci jeszcze nie wypowiedzieli się o tym regionie. Przerzucenie pomostu między

odległą bohaterką przeszłością a dniem dzi- siejszym, zobrazowanie współczesnego osadni- ctwa i samego procesu społecznego scalania się na tej ziemi, wreszcie problemy maryni- styczne — to są ugory czekające na piług pi- sarskiego trudu. O sprawach tych dość wni- kliwie i ciekawie mówił niedawno St. Telega na pierwszym „Wieczorze Autorów Szczeciń- skich”, zorganizowanym przez Klub Literac- ko-Artystyczny „Czytelnika” 8 kwietnia br. Wystąpili na nim Maria Boniecka, Julian Bo- rzym, Tymoteusz Karpowicz, Walerian Lach- nitt, Jan Papuga i Witold Wirpsza. Są to nazwiska młode, ale rokujące dobre nadzieje. Niewątpliwie na czoło ich wysuwa się twórczość J. Borzyna, T. Karpowicza i W. Lach- nitta.

Pomału więc Szczecin przestaje być kul- turalnym zaściankiem. Tworzy się społeczeń- stwo Nadodrza a razem z nim powstaje no- we środowisko literackie. Są to jeszcze pier- wociny, ale w nich składa się na razie cały kapitał zaufania.

### GLÓD KSIĄŻKI

Kiedy jesienią 1946 r. osiedliłem się na sta- le w Szczecinie, interesowała mnie jedna sprawa — książki... Pamiętam — wybrałem się na Dworcową do Biblioteki Miejskiej, chcąc zorientować się w katalogu i w dziale teorii literatury. Byłem wtedy jeszcze jednym z nie- licznych, którzy szukali naukowej lektury w języku niemieckim. Dyrektor biblioteki oka- zał się nadzwyczaj uprzejmy i usłużny. Oso- biście zaprowadził mnie do czytelni, zo- rientował w systemie katalogu i zostawił sa- mego w dużej sali między książkami. Cisza zapełnionych półek nastrojała do pracy. Wła- zem w bibliografię. Zasmakowałem. Zaczę- łem notować. W styczniu tego roku wpadłem znowu. Personel już się powiększył. Dyrektor Siadkowski przyjmuje w swoim skromnym gabinecie, zastawionym jakimiś starymi atla- sami, stosami inkunabułów i białych kruków. W gabinecie zimno. — Zapytuję z miejsca o sprawę biblioteki. Otrzymuję krótkie i rze- czowe dane. Księgozbiór niemiecki liczy 240 tys. tomów, z czego 100 tys. o charakterze archiwalnym zalicza się do tzw. „Museum Książki”. Jeśli chodzi o czynną obecnie wy- pożyczalnię liczy ona ok. 7 tys. polskich po- zycji. Poza tym w sprawie i w trakcie katalo- gowania znajduje się jeszcze ok. 3 tys. to- mów. Słowem razem biblioteka posiada ok. 10 tys. polskich książek! Ostatnio w okresie wielkanocnym odwiedziłem znowu dyr. Siadkowskiego. Z miejsca pochwalił się przede mną solidnym zakupem. Cyfra 10 tys. zwięk- szyła się o 2 tys. nowych pozycji. W obiegę według słów dyrektora znajduje się zwykle 5/6 księgozbioru, co oczywiście w normal- nych warunkach jest niedopuszczalne. Biblio- teka posiada dotychczas tylko jedną filię, ale krótko otworzy się kilka nowych na peryfe- riach miasta, gdyż Zarząd Miejski dał pierw- szy poważniejszy zastrzyk pieniędzy w posta- ci 2 milionów zł. Pracy dużo — mówi dyr. Siadkowski — ludzi fachowych mało. Perso- nel robi często błędy. Ale możliwości rozwo- ju są wielkie. Potrzeba tylko zrozumienia i pomocy. Wykorzystując w pełni budynek, bi- blioteka może pomieścić ok. 400 tys. tomów czyli zdolna jest przyjąć jeszcze nowych 150 tys. Nowoczesny magazyn biblioteki przy- pomina bibliotekę uniwersytecką w Poznaniu czy w Krakowie.

Następnie dyr. Siadkowski pokazuje mi wy- kresy rozwoju księgozbioru i krzywą czytel- nictwa. Potem oglądamy pierwsze druki z drugiej połowy XV w. Dyrektor otwiera duży oprawny w deski obite skórą pierwszy mszał z Kamienia (...Caminensis), pochodzący niemal z połowy XV w. a więc 15—20 lat po wy- nalezieniu druku.

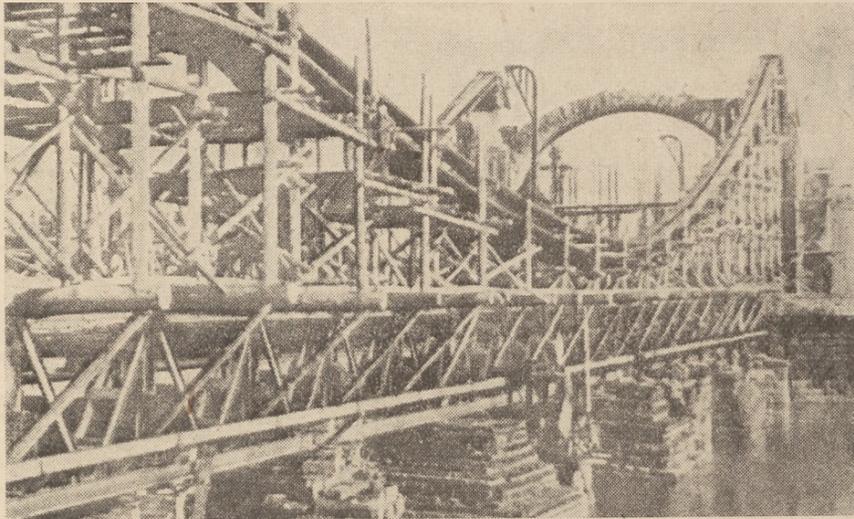
W zamyśleniu opuszczam gmach biblioteki. Niewyzyskany materiał czeka pod troskliwą opieką na swoich odkrywców. Prawda, trze- ba jeszcze wspomnieć, że oddział Instytutu Bałtyckiego organizuje bibliotekę naukową poświęconą problematyce Pomorza i krajów nadbałtyckich. Ma być na początek ok. 16 tys. tomów. I to jest wszystko. O prywatnych wy- pożyczalniach nie piszę, gdyż te obliczone na zysk karmią czytelnika niemal wyłącznie aktualną beletrystyką.

A równocześnie 140 tys. mieszkańców woła natarczywie o polską książkę...

### ALMA MATER STETINENSIS

Dyskusje dotychczasowe na tematy kul- turalne miasta nad Odrą poruszały albo sprawę planowania, organizacji, albo sprawę te- matyki twórczości literackiej czy kulturalnej w ogóle. Nic dziwnego, że nie znaleziono wyjścia. Zapomniano bowiem o człowieku. Sami organizatorzy ani ich artykuły nie zmie- nią sytuacji. Zmieni ją tylko człowiek o ambicjach kulturalnej twórczości, związany z Nadodrzem i doń przywiązany. Takiego czło- wieka trzeba dopiero wychować. A w tym celu trzeba stworzyć samowystarczalny ośro- dek twórczości kulturalnej i naukowej. I nic lepiej takiej roli nie spełni jak tylko pełny uniwersytet.

Jeśli przeciągniemy linię od Gdańska przez Toruń, Poznań aż do Wrocławia, to zobaczy- my, że cały wielki północny Zachód nie ma właściwie uniwersytetu. A przecież każdego roku wychodzą z zachodnio-pomorskich gim- nazjów nowe zastępy absolwentów, z których



Fot. Lambach — Film Polski.

Odbudowa mostu grunwaldzkiego na Odrze we Wrocławiu.

część najlepszą zabiorą inne ośrodki akade- mickie. Tu statystyka cyfrowa odkryłaby ciekawe problemy. Iluż szczecińskich np. stu- diuje obecnie w Toruniu, Poznaniu lub na- wet w Lublinie. A jaki z nich procent wróci do miasta, gdzie może teraz mieszkać ich rodzice czy krewni?...

### O FUNDAMENTY

Sprawa jest poważna i dlatego nie może się zmieścić w ramach dyskusji na tematy ce- łowości bieżącego repertuaru teatralnego czy wartości jednorazowych imprez oświatowo- kulturalnych. Chodzi bowiem o stworzenie

trwałego i atrakcyjnego ośrodka kulturalnego, ściągającego najlepsze siły z całego terenu Zachodniego Pomorza.

Chodzi nie o sprowadzenie trzech litera- tów więcej czy napisanie książki lub nowej monografii miasta, ale o stworzenie warszt- tu pracy kulturalnej dla rosnącego pokolenia. Rozwiązanie jest tylko jedno. Przyniesie je zwycięska walka o książkę i walka o pełny uniwersytet z wydziałem humanistycznym włącznie.

Wtedy dopiero życie kulturalne Szczecina dogoni i zrówna się z tempem jego gospodar- czego rozwoju.

Władysław Leszczyński

## WROCLAW

Cztery działające na tutejszych wyższych uczelniach organizacje akademickie ZNMS, AZWM, Wici i ZMD nawiązują coraz bliższe kontakty, których rezultat może być tylko jeden: — jedna i jednolita organizacja stu- dencka.

Pokusimy się tu o krótki fragmentaryczny przegląd dotychczasowej pracy i osiągnięć na terenie, wchodzącym w zakres oddziaływań ideowo - wychowawczych akademickich orga- nizacji.

Akcją o największym znaczeniu było zorgan- izowanie dla młodzieży chłopskiej i robotni- czej nieposiadającej matury — kursów przygo- towawczych na wyższe uczelnie wrocławskie. W skali ogólnokrajowej inicjatywa zorganizo- wania powyższych kursów wyszła ze strony ZNMS-u i AZWM-u. Na terenie wrocławskim pracę nad ich uruchomieniem i troskę o ich normalne funkcjonowanie przejął student III roku polonistyki, członek AZWM Życie — Woodrow Januszewski (od ich założenia, t. zn. od czerwca 1946 roku, pełniący obowiązki dyrektora kursów). Otworzono w bieżącym roku akademickim trzeci już z kolei kurs przygotowawczy.

Akcja informowania o kursach przeprowa- dzana była przez partie polityczne, organi- zacje młodzieżowe i związki zawodowe. Re- krutacji dokonano przy pomocy i za po- średnictwem Związków Zawodowych w mia- steczku i Związku Samopomocy Chłopskiej na wsi. Warto przedstawić ilość słu- chaczy, ich pochodzenie społeczne, przyna- leżność organizacyjną i stopień wykształ- cenia przy wpisywaniu się na kurs.

Dane odnoszące się do pierwszego i dru- giego kursu dotyczą tylko ilości słuchaczy. Na kurs I w 1946 r. zgłosiło się 480 osób, chodziło 200, przystąpiło do egzaminu 83, a poszło na uniwersytet, na rok zerowy 49. Reszta z tych 83 na skutek słabych wyników naukowych skierowana została do normal- nego liceum. Selekcja została przeprowadzona surowo i wciąż wysuwane obiekty przeważnie dopuszczaniu na uniwersytet „tych bez ma- tury” nie wydają się mieć uzasadnienia. O- statecznym czynnikiem decydującym o ich utrzymaniu się na wyższych uczelniach będą przecież wyniki naukowe.

W r. 1947 na 2-gi kurs przygotowawczy zgłosiło się osób 450, chodziło 250, do egz- aminu dopuszczono 133, poszło na „zerów- kę” 152.

Dane, dotyczące 3-go kursu przygoto- wawczego ilustrują skład społeczny i infor- mują szczegółowiej o młodzieży kursowej. Na kurs trzeci zgłosiło się 375 osób, a po trzytygodniowym kursie selekcyjnym pozos- tało 300 osób.

### POCHODZENIE SPOŁECZNE KANDYDATÓW PRZEDSTAWIA SIĘ — JAK NASTĘPUJE:

Robotnicy	65%
Chłopi	31½%
Urzednicy	4%

### PRZYNALEŻNOŚĆ ORGANIZACYJNA:

Z. W. M.	35,0%
O. M. T. U. R.	21,0%
Wici	5,6%
Z. M. D.	0,6%
Zw. Os. Wojsk.	0,6%
Z. U. W. Z.	0,6%

### PRZYNALEŻNOŚĆ PARTYJNA:

P. P. R.	25,5%
P. P. S.	9,5%
S. L.	1,3%

### PRZYGOTOWANIE KANDYDATÓW

szkoła powsz. nieukończ.	4%
szk. powsz.	78%
1 kl. gimn.	6%
2 kl. gimn.	8%
3 kl. gimn.	3%
4 kl. gimn.	1%

### WIEK KANDYDATÓW:

poniżej 19 lat	2%
od 19 do 21 lat	24%
od 22 do 25 lat	45%
od 25 do 30 lat	15%
od 30 lat	3%

### W OKRESIE KURSU SELEKCYJNEGO:

pracowało	40%
nie pracowało	60%

### W OKRESIE TRWANIA KURSU NORMALNEGO:

pracowało	12%
uzyskało urlopy	88%

Urlopy dawało tylko Ministerstwo Prze- mysłu i Ministerstwo Komunikacji. Zarząd kursów stara się o lokal na bursę, jak do- tychczas bez rezultatu. Instytucja kursów przygotowawczych, umożliwiających szerszy dostęp na uniwersytety młodzieży pochodze- nia robotniczego i chłopskiego, — jest naj- poważniejszą osiągnięciem zorganizowanej młodzieży wrocławskiej (AZWM, ZNMS).

Jak przedstawia się praca społeczna i ide- owo-wychowawcza w wymienionych orga- nizacjach?

Dla nawiązania głębszej współpracy pro- wadzone jest wspólne proseminarium marksi- stowskie ZNMS z AZWM-em Życie. Zebrania odbywają się co dwa tygodnie.

ZNMS poza akcją szkoleniową swych członków rozwija działalność na terenie wro- cławskich gimnazjów i liceów, zakładając koła OMTUR-owe. Kół tych założono dotąd przeszło 10. Na kołach przeprowadzane są kursy ideologiczne, na których przeszkolono 100 osób. ZNMS-owcy, członkowie Koła Me- dyków prowadzą od dwóch lat stałe wy- kłady popularne z zakresu medycyny dla robotników. W r. 47 tego samego rodzaju wykłady popularyzacyjne z zakresu prawa prowadzone były przez prawników-zetenem- sów. W tymże roku 47 polonistów, członko- wie ZNMS-u, mieli kilka wykładów popu- larnych z historii literatury dla wrocław- skich otmurowców.

ZNMS stając na platformie zjednoczenio- wej nawiązują kontakty z wszystkimi organi- zacjami. Przejawem tego był udział ZNMS- owców na kursie ideologicznym przeprowa- dzonym przez Wici. Wici, liczące na terenie akademickim ponad 300 członków, prowadzi również ożywioną i efektywną działalność zakładania kół gimnazjalnych i licealnych. Ilość kół stale wzrasta. Zorganizowany przez Akademickie Koło Wici 10-dniowy kurs pre- legentów przeszło 45 osób, przy stałej frek- wencji do 90 słuchaczy. Akademicy wiciowcy nie zapominają również o pracy na terenie. Praca w wiciowych kołach Dolnego Śląska prowadzona jest w 70 proc. przez Adademic- kie Koło Wici.

W miarę swych sił i możliwości starają się wymienione organizacje spełniać dwa główne zadania — udostępnić możliwość kształcenia się każdemu, a przede wszystkim dotych- czas upośledzonemu robotnikowi i chłopu, oraz rozszerzać świadomość społeczną i po- lityczną na całość młodzieży polskiej.

W kołach naukowych panuje ospałość. A Koła te stanowią przecież bardzo ważny czyn- nik w poszerzaniu horyzontów, pogłębieniu wiedzy i uaktywnieniu społecznym studiu- jącej młodzieży. Dlatego też nacisk powin- nien być położony między innymi na in- telektualne ożywienie naukowych kół Univer- sytetu i Politechniki. Mając to na uwadze nie sposób nie wspomnieć tu o Kole Filo- zoficznym, które w bieżącym roku akade- mickim we Wrocławiu wystartowało pod hasłem intelektualnej aktywności, organi- zując co tydzień referaty z dyskusjami.

Zdzisław Skwarczyński

## Egzotyka wiejska dla inteligencji?

JEDNA z ciekawych osobliwości dwudziestolecia międzywojennego było zjawisko bujnie krzewiące się upodobania w literaturze skandynawskiej.

Wrzód społeczny sprawy chłopskiej w Polsce groźnie ówczesnie nabrzmiewał domagając się zdecydowanych zabiegów chirurgicznych nie zaś ziemiańskiego plasterka pseudo-reformy rolnej. Wiadomości o braku ziemi i nadmiarowi ludności bezrobotnej. Sprzyjało to szczepieniu wśród jej mieszkańców bakterii drobniomieszczańskich idei społecznych i etycznych z antysemityzmem na czele, zakazających „moralę” społeczeństwa u podstaw.

Około roku 1925 sytuacja była zbyt wyraźna, żeby mogły istnieć wątpliwości, co do konieczności podjęcia stanowczych kroków ze strony chłopskich ugrupowań politycznych w kraju rolniczym w kierunku uzdrowienia stosunków.

Literatura mogła odegrać doniosłą rolę w mobilizacji opinii publicznej na tym odcinku.

Tymczasem stronnictwo chłopskie „Piast” uznało, że pisarzem, którego twórczość najbardziej odpowiada sytuacji chłopstwa polskiego w nowym państwie i w świecie, potrzebom i głodom tej klasy — jest autor „Chłopów”.

Inicjatywa tegoż „Piasta” w wysunięciu przez Polskę kandydatury Reymonta do nagrody Nobla wynikała z chęci uzyskania aprobaty pewnych kół europejskich na idee, jakich literacką wykładnią uczyniono naczelny utwór pisarza. Klasa, która powinna była podjąć walkę, usypiała w kadzidlanych dymach obrzędów (wierzchościawicki hold „Piasta” dla pisarza, akt jedności autora „Chłopów” z klasą chłopską), reżyserowanych przez przywódców owładniętych agrarystycznymi ideami.

Szukano aprobaty tam, gdzie były źródła sugestii o chłopie-człowieku wiecznym, sugesti, którym nadano miano i obieg „filozoficzny” gdzie indziej.

Choć otumanionych i tumaniących przywódców klasy chłopskiej wpręde zlikwidowali niecierpliwi, dla których ewolucja w kierunku obranym przez „Piast” przebiegała zbyt wolno, kadzido dla chłopów pozostało. Dymy jego rozwłóczyły się po literaturze w rozmaitych formach.

„Chłopi” i ich kariera światowa stworzyły nie tyle pomost między obcym czytelnikiem a naszą literaturą, ile raczej przysposobiły naszą inteligencję do przyjęcia bezkrytycznie laureatów fundacji, której jury stosuje wobec pisarzy swoiste kryteria polityczne i społeczne, wreszcie otworzyły także wrota na przyjęcie bez zastrzeżeń literatury skandynawskiej.

Tłumaczono tedy dla miejskich abonentów wypożyczalni książki Knuta Hamsuna, Björne Björnsona, Selmy Lagerlöf oraz Strydy Undset, której „Krystynę córkę Lawransa” dziś jeszcze wznosiła „Książka”.

Upodobanie to sprowokowało Goetla do swoistego naśladowstwa („Serce lodów”).

Upodobano sobie w aurze moralnej wielkich namienności bohaterów tych powieści, borykających się z losem chłopów wprawdzie, ale jakże wzniosłych. Któż tam popełniał zbrodnie z tak prozaicznych powodów jak spłacheć gruntu przy działce rodzinnym? Ród? — owszem, tak. Solidarność rodowa tworząca potęgę — toż dopiero frajda dla chłopomanów. Jeśli już zdarzyły się jednak konflikty przypominające nasze — to proszę — jakie wysublimowane, bardziej pływające z dumy, niż ordynarnej potrzeby. Jakże dostojne to chłopstwo siedzące na folwarkach, jakie pańskie w nawykach i starożytnie. „Surowy” — panie — klimat i człowiek zmagający się z nim — bierze tak, że „czyta się jednym tchem”. Tak było przed wojną.

Zmieniły się u nas warunki. Problem wsi został radykalnie rozwiązany przez Państwo etc. Po głowach jednak przeciętnych inteligentów tułają się nadal resztki kadzidlanych dymów osobliwej chłopomanii. Rodzi się pytanie — co w tej dziedzinie może zdziałać literatura, nie rodzima i oryginalna — rzecz prosta, bo tej postawiono już tyle wymagań, że aż dziwi bierze, dlaczego dotąd głucho wśród beletrystów o współzawodnictwie w pracy, ale najliczniejsza, najchętniej czytana beletrystyka tłumaczona.

„Przeklęta ziemia” — taki jest tytuł polski przetłumaczonej przez Zofię Szleyenową książki Blasco Ibaneza, zatytułowanej w oryginale La Barraca. Kiedy oglądaliśmy w redakcji tę książkę, ktoś wyraził przypuszczenie, biorąc pochop z rysunku na okładce przedstawiającego hiszpańskiego oracza oraz z instytucji, w której rzecz się ukazała („Książka”), że oto przyswojono naszemu czytelnikowi nareszcie jakiś utwór pochodzący pod kolor, odpowiadający potrzebom społecznym. Ktoś inny, zerknąwszy do środka, określił książkę jako cukierny sentymentalny — nastrojową, chłopomańską bzdurę. Zaproponowano: skądże — takie zastrzeżone wydawnictwo i nagłe bzdura. Raczej zainteresowanie rodowodem stosunków społecznych w Hiszpanii. Sprawdzmy.

Zaczyna się ta powieść bardzo tradycyjnie. Świt na wsi w okolicach Walencji. Sielanekowy nastrój. Dzwony wzywające na mszę ranną i pierwszy „wieśniacy” na polach i drogach podziewający się imieniem bożym. „To chłopskie pozdrowienie wymienił z całą powagą. Ludzie mający w zylach maurytańską krew potrafią mówić o Bogu tylko w sposób

Genowefa Szturhaniec

## Nie róbmy Greków!

Awantura z wieżą Babel była jednym z najfatalniejszych przypadków w dziejach świata. Zakłopotanie naszych przodków, wywołane zdumiewającym opętaniem niegodziwych mularzy, głęboko odczuł i wyśpiewał w wieszczym szale Julian Ursyn Niemcewicz:

„Leciał Francuz z szampanem, gdy wapna wołano,  
Anglik podawał rostbif, kiedy cegły chciano;  
„Niechże, mularz zawołał, co prędzej kamieni!”  
Polak w cwał nioś mu kawał huzarskiej piezarki.  
A tak, gdy w każdym razie ustawna przeszkoda  
Porzucano budować, czego wielka szkoda”.

Tak było ongiś, gdy ludzie chcieli staremu Jehowie w „okna zaglądać”. A i później, gdy ludzkość ograniczyła znacznie swe ambicje — czymże jest bowiem demokracja ludowa wobec tak bezbożnej wieży? — i później także niemożność porozumienia się zawista ponurym cieniem nad losami świata.

Cóż tu mówić o terenie międzynarodowym, gdzie nikt nigdy z nikim dogadać się nie mógł, mimo, a może wskutek instytucji języka dyplomatycznego — gdy i wewnątrz jednego systemu językowego zrozumieć się jakoś nie sposób. Zbyt wygodnym chwytym polemicznym stało się bowiem „niezrozumienie”. Pozwała ono na wmawianie przeciwnikowi różnych mijałków metodą „jak w chorego jaje”; — spreparowany w ten sposób delikwent może długo wołać że iza, że on przecież nie... i że w ogóle nigdy... Schemat polemiczny się uciera, pokolenia babelońskich publicystów będą budowały swoje wieże z kotletów, lub wybijaly w nich dawno wyjedzone drzwi. Wobec sprostowań robi się Greków — jest to w nowym wydaniu, jak wiadomo piemię, którego żaden ludzki język się nie ima.

Na literackim podwórku gruntem szczególnie żyznym dla „niezrozumień” wszelkiego rodzaju były dyskusje metodologiczne, zaktualizowane niedawno wskutek potyczek wśród młodych polonistów z kół uniwersyteckich. Różnojęzyczny bełkot, jaki się podniósł na łamach czasopism nie da się wylumaczyć przyrodzoną mętnością rozważań tego typu, ani chwilewistością terminów naukowych literaturoznawstwa. Były to niewątpliwie świadomie zorganizowane misteria nowogreckie.

Rozpatrzmy dla przykładu po tysiącokrójce wyważoną sprawę, **socjologizm contra formalizm**. Zdawałoby się, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy obie strony miały czas powiedzieć sobie dokładnie wszystko, co na ten temat było do powiedzenia. Obecnie jest pora bądź na praktykę badawczą, która naoznacznie wykaze wyższość jednej z metod, bądź na poważną pracę teoretyczną, latającą dostrzeżoną przez przeciwników łuki systemu. — Panowie optymiści — zapomnieliście o naszych Grekach! Kudłate Achaje mają zawodowo czas, — kiedyś potrafili przez całe dziesięć lat wodzić się za łyby o cudzą żonę, — i dziś, w epoce wojen błyskawicznych obyczaje ich nie uległy zasadniczej zmianie. Każdy problem można troić latami, wystarczy tylko w tym celu „nie rozumieć”, o co chodzi.

W myśl tej recepty wystąpił ostatnio Aleksander Jackiewicz w „Nowinach Literackich” ze swym kawałem „huzarskiej piezarki” („N. L.” — Nr 15—(56)).

Jackiewicz znalazł upragniony temat do długich rozważań w obrazie zatrwających błędów recenzentów szkoły socjologicznej; — czyż być może, aby znaleźli się ludzie tak niegodni, by w „socjologicznych” recenzjach uprawiać najostrej przez socjologizm potępione rozważania typu „co autor miał na myśli”, albo „Mickiewicz a naród”, albo „Wokulski a kapitalizm”? Obywatele Jackiewicz, czy aby wściecie na pewno, w którym kościele dzwonią, jeśli tak, to wskazać czym prędzej tego niegodnego „socjologa” — psychologię, który stawia tak bzdurne problemy, bo chyba niepodobna, byście w tak nieinteligentny sposób zrozumieli rewelacyjne studium Kotta o „Lalce”. I po co stwarzać fikcję zastępów recenzentów wyklinających formalizm, gdy rozprawki „socjologiczne” da się policzyć na palcach obu rąk i jednej nogi? Chyba, że w rozumieniu Jackiewicza (kryterium klasyfikacyjne „co autor ma na myśli”), „socjologami” mianowani zostali krytycy „Tygodnika Powszechnego”; — exemplum: wnikliwie rozważania goa na temat, „czy Sygryda Undset miała na myśli człowieka wiecznego, jako takiego — i jeśli jako takiego, to jakiego i dlaczego?”.

Jackiewicz martwi się bardzo, że szkoła socjologiczna nie wypracowała dotychczas swych narzędzi, że „nie ma dotąd sposobu na pełną analizę dzieła”, a zarzuciła cały dorobek formalizmu. No, to już przechodzi nawet granicę tego, co wolno Grekom — stuknijcie się w miejsce po głowie p.t. posagu na miarę Fidasza — jakimi narzędziami analizy dzieła literackiego może się posługiwać normalny „socjolog”, jeśli nie formalnymi; czy widzieliście zdrowego na umyśle marksistę, który wbija gwoździe popytem, a nie młotkiem?

Istotnie, szkoła socjologiczna „nie ma dotąd sposobu”, ale dlatego, że nie wypracowała dotąd metod interpretacji wszystkich chwytów formalnych, których znaczenia nie mogła nigdy lekceważyć. Wówczas dopiero osiągniemy pełne i wszechstronne widzenie dzieła literackiego. Stąd niejednokrotnie „socjologowie” kładą główny nacisk na inter-

pretację ideologii, stąd jednak droga do problemu „co autor miał na myśli” jest bardzo daleka.

Tyle o impresjach p. Jackiewicza. Ale są wypadki bardziej żenujące: oto sędziwy formalista — profesor K. W. Zawodziński również przyodził się w chlamidę i hasa po „Dziś i Jutro”. Tam bowiem złożył ostentacyjnie skołatana głowę. „Niezrozumienia” Zawodzińskiego są nieodparcie zabawne, bo słuchające, jakich to argumentów użył, jaką skomplikowaną machinę dowodową zbudował znakomity profesor, aby poprzeć rewelacyjną tezę, że nie można rozpoznać z formalnych narzędzi badawczych: oto G. A. Gukowski u dołu str. 219 dzieła „Literatura rosyjska XVIII w.” napisał... — Panie profesorze, doprawdy szkoda trudu na rycie po przypiskach u dołu str. 219 — o tym w Związku Radzieckim wie każdy zasmarkany Wańka z dziesięciolatki, a w Polsce co drugi student.

Jeszcze większą greczyzną, zakrawającą na świadome mydlenie oczu, jest plątanina zręcznie przeczących sobie zdań, poświęconych sprzecyzowaniu postawy badawczej W. Żyrmuńskiego, z których w końcu wynika, że formalizm i socjologizm nie mają nie sprzecznego, bo „są ujęciami zagadnień literackich na różnych płaszczyznach i nigdy nie powinny się zetknąć”. Więc tyle o ideologicznym sensie artystycznego kształtu dzieła literackiego wyczytał znakomity profesor w przypiskach współczesnego literaturoznawstwa radzieckiego? Winstujemy wnikliwości i zręczności. No, a poza tym oklepne brednie o rozpowszechnionej w Polsce wulgarniej krytyce socjologicznej, — czy aby nie wiatrak, prosz pamporsza? — oraz uparte mieszanie socjologii literatury z metodą socjologiczną, — jak na jeden artykuł chyba starczy? — Nie, na zakończenie jeszcze jeden dowcip. Udoskonalona metoda formalistyczna ma wejść w ramy prawidłowo zbudowanego literaturoznawstwa marksistowskiego (po trzykroć zgoda!) — ale jak: o tym informują nas... poloniści poznańscy. Tak, tak, znaczna młodzież narodowa, staliście się teoretykami marksizmu! I nie wstyd wam! A już dawno ostrzegano: nie ufajcie Grekom („Timeo Danaos...”).

Ale oddajmy głos oskarżonemu. W nr. 39 „Nowin Literackich” Koło Polonistów Uniwersytetu Poznańskiego zamieściło list w związku z dyskusjami po Zjeździe Kół Polonistycznych w Krakowie. Stwierdzono tam, że pierwszym etapem pracy badawczej jest „badanie formalne dzieła. Następna funkcją jest badanie historyczno — literackie (geneza i włączenie dzieła w nurt epoki) a wreszcie krytyka dzieła”. — Szkoda tylko, że w. w. znaczna młodzież przez „epokę” rozumiała ciąg formalnej tradycji literackiej, ale poza tym kubek w kubek Timofiejew — prawda, panie profesorze!

Tak oto wyglądają na przykładzie popisy mniejszych i większych Greków, ale to niższe piętra wieży Babel — na szczytach szaleje Kiesel, nakazując braciom w Chrystusie uczyć się dla niepoznaki po japońsku. („Tygodnik Powszechny” nr. 160 — „Uczmy się po japońsku”).

Ten patriotyczny nakaz chwili został wydany pod wpływem starej anegdotki: „Sędzia zapytuje skazanego: — Jakże jest pańskie ostatnie życie przed śmiercią? — Chciałbym się nauczyć po japońsku — brźni odpowiedź”. Kiesel nie posiada się z radości: — Oto ustami skazańców przemówiła prawda. Cześć wytyżonemu, bezinteresownym wysiłkom, cześć uprawianiu „tak do niczego nieprzydatnych czynności”, jak japońszczyzna, jazda na nartach, jak „symfonie Mozarta itp. Służę to bowiem celom duchowym; — w każdej z tych mała na pozór ważnych dziedzin ludzkiego działania, (nie wyliczając nart) tkwi odbicie pewnego ogólnego, absolutnego wzoru, miniaturowa wizja ponadczasowej doskonałości”. „Marks, Engels, Kautsky i Żółkiewski mogą sobie tysiąc dni kiwać siwymi brodami...”

Kiesel ma rację, że chce to przełożyć na japońszczyznę. Nawet po grecku brzmiałoby to na zbyt gupio. Tylko, że ów chytry i bynajmniej nie bezinteresowny skazaniec na pewno nie nabrał sędziemu na tak długoterminowe odróżnienie kary, i na pewno Kiesel nie nabierze nikogo na takie rady, jak: „Zadumaj się głęboko nad tą historią i przypomnij sobie jeszcze zdanie starego, wasatego Marszałka w maciejówce: „Nie wierz temu, kto ci mówi, że głowa muru nie przebijesz.” Oczywiście, przebić mur głową jest bardzo łatwo, trzeba tylko chcieć. Proponuję więc wspólne i systematyczne walenie głową w mur.” — Nareszcie szlachetny samuraj puścił farbę: więc i tu japońszczyzna i spory o ponadczasową doskonałość sztuki nie są bezinteresowne. Zal nam tylko Kisiela: jest młody, zapalony, choć nierozsądny i nie widzi, jak go w „Tygodniku” wyzyskują. Oni tam sobie spokojnie rozprawiają o rozwoju nauk biblijnych, a ty, Kisielu, kładź zdrową półgłówkę za Ewangelię. To zupełnie jak w znanej balladzie ze „Śpiewów historycznych”:

„Na Wiślniej cisza, księża śpią błogo,  
A tylko coś stuka w kółko;  
Zdyszany Kiesel w brudnym kimonie  
Łbem kopie dół pod Gomulką”.

Miłosierni O. O. Bonifratrzy, wejrzyjcie w te burzące praktyki!

A jeśli chodzi o naszą wieżę, to połączone wysiłki Greków i Japończyków nie przyniosą wiele szkody, także i walenie głową w mur nie jest groźne — nie „porzucimy budować”.

\* Blasco Ibanez — „Ziemia przeklęta”, W-wa 1947, wyd. „Książka”, str. 194.

BARTOSZ

## ZNACIE ICH?

Krótka rozprawa między wójtem i plebanem



— „Młda mi inteligencjo akademicka, — rozpoczął przemówienie prefekt prowincjonalnego gimnazjum do licznie zgromadzonej przy stole młodzieży — mamy tu przedstawicieli całego społeczeństwa: przyszłych lekarzy, adwokatów, inżynierów i duchownych. Żyjemy w zaiste ciężkich czasach, czasach prób tworzenia sztucznych nowotworów społecznych, że wspomnę tu tylko niesławny sojusz robotniczo — chłopski z nigdy nieokreśloną inteligencją pracującą. Te próby usuwania przyrodzonych, naturalnych różnic między ludźmi przeczą odwiecznemu porządkowi świata. Wszycyśmy wprawdzie stworzeni na podobieństwo Boże, ale przecież jasne, że każdy z nas jest inny. Stąd też powstały klasy społeczne jako miara i wynagrodzenie za większe lub mniejsze zasługi obywatelskie. Historia naszego narodu jeden zna tylko sojusz odwieczny — inteligencji z kościołem. Jego zdrowie miła kościołowi inteligencjo!

Akademicy piją na ogół chętnie. Zaspokoiliśmy pierwszy głód prawil książd prefekt dalej:

— Jesteśmy na ogół zadowoleni z naszej młodzieży akademickiej; duża, przecież jej część należy do Caritas Academica. Zdarza-

ją się jednak wypadki, że młodzież zrywa z tradycją, którą zadokumentowała w 1936 r. w czasie pielgrzymki na Jasną Górę. W naszym mieście jest niestety jeden taki akademik pan Piotr Pigwa z czerwonej Łodzi, który usiłował na łamach bezbożnego pisma „Wieś” ośmieszyć religijne praktyki święcenia pól na wiosnę, aby Pan nasz lepsze zbiory wydarzył.

— A cóż takiego on wypisywał, proszę księdza — zapytałam.

— Że kościół, moje dziecko, uprawia ziemię przy pomocy techniki magicznej, którą wyprawdza dziś ateistyczna socjologia z totemizmu plemion indiańskich...

— Książd zatem sądzi, że woda święcona zastąpi...

— Moje dziecko, nie zbaczajmy z tematu. Ja chcę powiedzieć, że kościół ma piękną tradycję dysput publicznych, ale z dzisiejszymi publicystami lewicy nie można rozmawiać. Oni się na nas pienią, ale nie mają odwagi z nami jawnie dyskutować. Najchętniej pozamykaliby nas w więzieniach. W całej historii kościoła nie znajdziemy takich argumentów.

— No, a inkwizycja, proszę księdza prefekta...

— Nie przerywaj mi, moje dziecko. Z tobą naprzykład mogę mówić, moje dziecko, choć mi się wydajesz nazbyt śmiały. Ale, ale, jak się nazywasz, bo zapomniałem?

Piotr Pigwa — proszę księdza i bardzo się cieszę, że będę mógł z księdzem podyskutować.

Niestety, poczciwy prefekt przypomniał sobie właśnie, że ma ważne zebranie pań z tow. Św. Zyty i... musiał tam bezwzględnie być.

Niepocieszony

## Demokracy — nawróćcie się!

(W kawiarni prowincjonalnego miasta)



— Szacunek kochanemu demokracji! O czym to kolega myśli?

— O młodzieży prowincjonalnej.

— Po co się pan tak męczy! I tak nie w tę stronę pójdzie świat, jak pan myśli. Mówił mi dziś — dyrektor...

— Jak dyrektor?

— Był przed wojną dyrektorem fabryki i będzie nim po wojnie!

— Po jakiej wojnie?

— Mój Boże! Czyta pan tylko tę blokową prasę, pisze do różnych „Wsi”, nfe bywa w kołach dobrze poinformowanych i nie słucha „Głosu Ameryki” — to pewno, że nie pan nie wie.

— No, a cóż takiego mam wiedzieć?

— Człowieku, w jakim świecie pan żyje? Przecież wojna już się na nowo zaczęła. Nie tylko dyrektor ale nawet pan radca...

— Co znowu za radca?

— Z przedwojennego Ministerstwa Wojny — kochasiu. Kto jak kto, ale on już dobrze wie co mówi: (znijzonym głosem) nad Berlinem zestrzelił ich myśląc angielskiego Lancastera! Na całym świecie mobilizacja! U nas też! — Pan myśli, że Służba Polsce — to co jest?

— Jak to co? Awangarda ruchu odbudowy zniszczonej ojczyzny.

— Pan wie, co pan jest? Pan jesteś owoc propagandy, czyli ostatni mohikanin, wierzający jeszcze w tę ich odbudowę. Przecież to jest właśnie wojskowa mobilizacja. Nie widziałeś pan 15-stej Kroniki Filmowej?

— Widziałem.

— No to onj tam sami pokazali, że badania lekarskie było zupełnie jak do wojska, że młodzież pakują do lotnictwa i każą kopać rowy strzeleckie. Demokratyczni, pewną dostają już podobno karabiny i będą pilnować niebłagonadiożnych. Mówił mi właśnie naczelnik...

— Jak naczelnik?

— Z Ministerstwa Oświaty, oczywiście przedwojennego. Powiedział mi proszę pana, że teraz mają się zabrać do akademików i harcerstwa. Nie zobaczysz pan już więcej dawnych obozów letnich. Kwiat naszej inteligentnej młodzieży zostanie zmuszony do pracy fizycznej nad fortyfikacją kraju.

— I co z tego wszystkiego będzie, niech mi pan powie?

— Co będzie? Alianci uderzą ze wszystkich stron i w parę miesięcy będzie po krzyku. Wtedy zobaczy mnie pan już nie w roli urabiającego zdrową opinię publiczną, ale na właściwym stanowisku.

— Na jakim, jeśli można spytać?

— Jak za dobrych przedwojennych lat. Przedstawiciel Standart Oil Company na Polskę. Może pan liczyć na moje poparcie. Narazie jednak niech pan milczy na temat naszej rozmowy. Siła przed prawem jest jeszcze...  
Więc milcz.

Nieorientowany.

## Kiedy się zwiedza fabrykę



Drogi Polo!

Wczoraj byłam razem z paczką kolegów chemików w krakowskiej garbarni. Pojechaliśmy hen, gdzieś na Dębiki, ale od razu przestaliśmy się dziwić, że garbarnie buduje się za miastem. Dziś jeszcze z rozpaczą stwierdzam, że mój nowy wiosenny płaszcz (z materiału, który mi kotku przysłałeś) jest przesycony tamtejszym „odorem” mimo, iż go wietrzyłam i skropiłam wodą kolońską. Jak się tak dziś troszczą o robotnika to mogłoby w takiej garbarni rozpylać wodę kolońską, jak to robiono, naturalnie przed wojną, w wytworniejszych kinach.

Przybita jestem warunkami, w jakich musimy pracować robotnik. Nie dały mi spać te okropne doły cementowe z setkami obślizgłych, odwiosionych skór i ludzi brudni, nieestetycznie wyglądający o mocnych żyłastych rękach ciągnący skórne płachty żelaz-

nymi hakami. Bałam się okropnie, że który z nich spadnie do wapiennej kąpeli, bo przecież tak wąskie były przejścia między kanałami.

Widać było troskę o podniesienie produkcji, widziałam napisy na ścianach, wzywające do wysięgu pracy. Jednego jakoś nie mogłam wyczuć: troski o człowieka. Może jestem przeczulona, może mi się tylko wydawało, że skóra jest tu bożyszczem, na którego ołtarzu wiele trzeba poświęcić. Ostatecznie twoja kicia wstała z bólem głowy, przejęta jak nigdy, a już najgorsze te sińce pod oczami a jak na złość wieczorem rozpoczynamy wiosenny karnawał. Jakże będę wyglądać na zabawie!?

Wybacz, że ci to wszystko wypisuję, ale chcę żebyś zrozumiał, jak bardzo jestem wzruszona Twoim nowym podarunkiem. Ta angielska torba świetnie pasuje do mojej sportowej sukienki. I skóra na niej delikatna, taka miłusia — wiem, wiem — troszczysz się o moją nadwrażliwość na wszelkie ludzkie niedole; i chcesz mi umilić to życie pełne smutnych wrażeń. Ach, jakaż jest wielka różnica między skórą, tą z garbarni, a tą — od Ciebie.

P. S. A co dostanie kicia za wzruszanie się dołą szarego człowieka?

Jola

## List Wiciarza — licealisty

Szanowny Redaktorze!

Na warszawskim Zjeździe Akademików i Licealistów Wiciarzy wzywaście w pięknych słowach nas — licealistów do pogłębienia samowiedzy społecznej poza obowiązującym programem szkolnego nauczania. Mówiliście, że na studiującej młodzieży wiciowej spoczęło wielkie zadanie zdobycia gruntownego poznania dziejów ruchu ludowego, że trzeba ten ruch badać naukowymi metodami choćby na własnym terenie. Słuchaliśmy z zainteresowaniem i biliśmy Wam bravo ze szczerego serca, no bo naszym zdaniem macie rację!

Donoszę Panu Redaktorowi, że w naszym kole postawiliśmy sobie zaraz po powrocie z Warszawy zagadnienie poznania kulturalnej, społecznej i gospodarczej rzeczywistości wsi w szerszym zakresie niż to daje gimnazjum ogólnokształcące i liceum. Napotkaliśmy jednak na niebyłejakie trudności. O nich będzie reszta tego listu.

Nasze kole, jak zresztą i inne w naszym prowincjonalnym mieście (jest ich razem 3) nie jest zaopatrzone w narzędzia badań. Biblioteka szkolna, wprawdzie już okazała, nie ma prawie wcale odpowiednich dla pracy wiciowej książek. Nie mamy w dalszym ciągu ani „Dziejów Chłopów” — prof. Śreniowskiego, ani Jerzego Tepichta — O wsi w planie trzyletnim, Tadeusza Reka — Historia Ruchu Ludowego, czy Waszych „Drogowskazów na manowcach kultury ludowej”. Wymieniam te pozycje książkowe jedynie dla przykładu. Można by je oczywiście znacznie powiększyć. Na własną bibliotekę nie możemy sobie pozwolić.

Świetlica naszego Gimnazjum posiada bardzo wiele pisma. Nie numeruje się np. Waszej „Wsi”. Czytamy jedynie „Wici”, ale dla nas — licealistów jest to przecież niewystarczająca literatura.

Aktualna problematyka wsi nie jest należycie uwzględniana przy nauczaniu zagad-

nień życia współczesnego.

Nie wiemy gdzie szukać przyczyn, ale z ramienia Związku Młodzieży Wiejskiej nikt dotąd jeszcze u nas nie był, nie otrzymujemy żadnych instrukcji, nie prowadzi się także żadnej akcji odczytowej i dyskusyjnej. Czyżby to prawda (często tak słychać), że „Wici” zamiast płać — przygasają? Liczymy, że od Was z Redakcji przyjedzie ktoś z odczytem do nas.

Nie dziwicie się Panie Redaktorze, temu listowi, ale naprawdę młodzież wiciowa z prowincji nadal nie ma pełnego kontaktu z aktualnymi zagadnieniami ustrojowymi. Gimnazjum ogólnokształcące jest wciąż jeszcze zaściankiem dobrzyńskim.

Nie wiemy, czy zechcecie ogłosić ten list. Gdybyście się zdecydowali — dodajcie jeszcze: młodzież wiciowa z liceów chce już teraz podjąć przypadającą jej rolę społeczną. Chce się do tej pracy uzbroić intelektualnie. Nie nadarmo przecież zdeklarowała się na warszawskim zjeździe. Wołamy więc o odpowiednie książki, prasę ludową, odczyty, szerokie powiązania z resztą ruchu młodzieżowego. Inaczej nie będziemy mogli zaznaczyć się godną wzmianki działalnością.

Wam i całemu Zespołowi przesyłamy wiciowe pozdrowienia.

Radom, 25 marca 1948 r.

Jerzy Madej

Od Redakcji:

Mamy nadzieję, że Zarząd Główny ZMW RP „Wici” zwróci uwagę nie tylko na list wiciarza-licealisty ale i na rozrastające się szybko licealne kole wiciowe.

Prosimy również Kuratoria poszczególnych okręgów szkolnych o zainteresowanie się bibliotekami szkolnymi i prasą w świetlicach.

Ze strony Redakcji zapewniamy kolegów, że z odczytami do Was przyjedziemy. Nawiążemy także przez listy i ankiety kontakt z Wami.

## Książki nadesłane do redakcji

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

„CZYTELNIK”

WIEDZA POWSZECHNA

Portrety literackie:

A. Boleski — Zygmunt Krasiński.  
T. Czapezowski — Aleksander Fredro.  
J. Z. Jakubowski — Henryk Sienkiewicz.  
Z. Klarnier — Eliza Orzeszkowa.  
J. Kulczycka - Saloni — Bolesław Prus.  
E. Sawrymowicz — Jan Kasprzewicz.

Literatura dawnej Polski:

J. Krzyżanowski — Jan Kochanowski i humanizm w Polsce.  
— Mikołaj Rej i rodzima kultura literacka jego czasów.  
— Początki poezji w Polsce.  
— U kolebki naszej literatury.

Romantyzm Polski:

St. Kolbuszewski — Twórczość Mickiewicza w kraju i w Rosji.  
— Twórczość Mickiewicza na emigracji.

Polscy pisarze polityczni i społeczni:

A. Kowalska — Andrzej Frycz Modrzewski.  
J. Kulczycka - Saloni — Maurycy Moch-nacki.

Malarze polscy:

M. Wallis — Julian Fałat.  
— Artur Grottger.

Przechadzki Ateńskie:

W. Witwicki — Propyleje.

Muzyka i muzycy polscy:

J. W. Reiss — Polskie skrzypce i polscy skrzypkowie.  
K. Stromenger — Stanisław Moniuszko, twórca pieśni i oper.  
Zdz. Jachimecki — Mikołaj Gomółka i jego poprzednicy w historii muzyki polskiej.  
K. Stromenger — Fryderyk Chopin.  
Zdz. Jachimecki — Muzyka kościelna Moniuszki.  
H. Pomorska — Karol Kurpiński.  
E. Altberg — Polscy pianiści.

Prasłowiańszczyzna i Polska pierwotna:

Zdz. Adam Rajewski — Jak żyli nasi przodkowie w zaraniu dziejów.  
B. Kostrzewski — Rzemiosło u Polan.

W. Hensel — Osadnictwo i budownictwo prapolskie.

J. Kostrzewski — Słowianie i Germanie w pradziejach Polski.

W. Hensel — Kłamstwa nauki niemieckiej o Słowianach.

K. Jazdzewski — Gdzie była prakolebka Słowian.

Zdz. A. Rajewski — Biskupin gród prasłowiański.

J. Kostrzewski — Zabytki przedhistoryczne i sposób ich badania.

— Kultura prasłowiańska.

Wielkie ośrodki najstarszej kultury:

M. H. Serejski — Bizancjum.  
B. Baranowski — Najazdy ludów stepowych. — Arabowie i Państwa Arabskie.  
E. Słuszkiewicz — Indie Starożytne.  
J. Chmielewski — Chiny przedwczorajsze i wczorajsze.

Europa feudalna:

T. Manteuffel — Feudalizm — ustrój społeczny i polityczny.  
A. Gieysztor — Cesarstwo i papieżstwo w walce o władzę powszechną.  
K. Tymieniecki — Starożytność w kulturze wczesnego średniowiecza.  
St. Zajaczkowski — Świat słowiański.  
H. Eweri - Kappesowa i J. Schoenbrenner — Wyprawy Krzyżowe (Krucjaty).  
A. Gieysztor — Powstanie Państw Narodowych.

Wiadomości z psychologii:

W. Witwicki — Uczucia estetyczne.  
— Podział życia psychicznego — uwaga, pamięć, fantazja.  
— Wrażenia zmysłowe.  
— Świat wewnętrzny i drogi do niego.  
— Widzenie utworów przestrzennych.  
— Instynkty, uczucia, afekty.  
— Myślenie.

Surowce w polityce światowej:

J. Sobczak — Walka o kauczuk.  
— Walka o naftę.

Medycyna społeczna:

W. Poll — Jaglica.  
A. Handelzale — Gruźlica i jej zwalczanie.  
— Choroby nowotworowe.

Przełomowe odkrycia w medycynie:

J. Oknowski — Przetaczanie krwi.  
A. Handelzale — Promienie Roentgena i ich znaczenie w medycynie.

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

Ceny ogłoszeń: kolumna 66.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł;

1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł;

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł., kwartalnie 180.— zł., półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto

P K O ŁÓDŹ VII — 1080.

Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik” Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—024326